MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 6 WARSZAWA, 1 MARCA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

IDEA LIGI NARODÓW

„POLSKA coraz bardziej umacnia się w przeświadczeniu...“—pisał p. Aleksander Skrzyński, podówczas minister spraw zagranicznych, w miesięczniku „Przegląd Polityczny“ (lipiec, 1925)—„że krocząc po drodze, którą wskazują wielkie idee Ligi Narodów, służy najlepiej własnym interesom państwowym“. „Obowiązek czuwania nad rozwojem i ugruntowaniem idei..., której służyć powinna Liga Narodów“—to, zdaniem ministra spraw zagranicznych p. Augusta Zaleskiego, „bardzo poważny obowiązek“ i jedno z głównych zadań, jakie ma przed sobą polska polityka i dyplomacja*). A poglądy te i sposób ich wyrażenia nie zrodziły się przy ulicy Wierzbowej, nie są dziełem ani własnością wyłączną naszych ministrów, czy to z czasów przed przewrotem majowym, czy obecnych. Śmiało rzec można, iż słowa hołdu dla „idei Ligi Narodów“ szumią dziś w każdym kieliszku szampana, wznoszonym w oficjalnych toastach na zjazdach międzynarodowych, na dyplomatycznych bankietach w Londynie, Paryżu, czy Genewie. Nawet sceptycy, bardzo krytycznie oceniający organizację i zdolność skutecznego działania Ligi, swój sąd ujemny zawsze niemal uzupełniają zastrzeżeniem: „Oczywiście, nie mam nic przeciw samej idei Ligi Narodów, która jest bardzo szlachetna, bardzo piękna...“. Warto przeto, choćby w sposób najbadziej szkicowy, rzucić kilka uwag na temat, jaka treść rzeczywista jest zawarta w słowach „idea Ligi Narodów“, jaka więc jest istotna, rzeczywista wartość tej ideologji.

1. Najważniejszem zadaniem Ligi Narodów, jej właściwą racją istnienia, jest zapobieganie wojnom, utrzymywanie pokojowych stosunków między państwami. Wszystkie dalsze cele, wymienione ponadto w pakcie Ligi, są jedynie (pośrednio czy bezpośrednio) rozwinięciem tego punktu głównego, co jest zresztą tak widoczne i niewątpliwe, że w świadomości powszechnej Liga Narodów raz na zawsze zespolona jest z ideą pacyfistyczną, z której powstała, której jest głosicielką i strażniczką. Z drugiej strony wszakże, nie trzeba zapomnieć, że nie Liga jedna stała i stoi na straży pokoju wśród narodów, że w odległej i bliższej przeszłości wielokrotnie te czy inne czynniki łagodziły zatargi między państwami, usuwały przyczyny starcia orężnego lub zmuszały do zaprzestania walki. Nawet w czasie burzliwych lat czterdziestu, poprzedzających wybuch wojny światowej, dyplomacja mocarstw często bardzo potrafiła doprowadzać do zażegnania nieporozumień, nieraz groźnych, jak chociażby zatargi kolonjalne francusko-angielskie pod koniec minionego stulecia. Doświadczenia zaś, jakie dotąd daje pod tym względem działalność Ligi Narodów, nie są wcale, w porównaniu z niedawną przeszłością, krzepiące. Polubowne roztrzygnięcie sporu o wyspy Alandzkie, kiedy żadna ze stron, ani Szwecja ani Finlandja, nie dążyła do sprowokowania walki orężnej, pokojowe zakończenie sprawy zajścia na granicy grecko-bułgarskiej — te najczęściej przytaczane sukcesy bledną wobec faktu, że pomimo utworzenia Ligi Narodów krwawe wojny w dalszym ciągu toczyły się w rozmaitych częściach świata, że i dziś n. p. rząd angielski wysyła oddziały wojsk do Szanghaju, chociaż i Anglja i Cniny są nietylko związane wspólną przynależnością do Ligi, ale nawet zaliczają się do jej założycieli.

Jeśli przeto nikłe rezultaty prac Ligi stale są przez propagandę pacyfistyczną wyolbrzymiane, jeśli dawniej nie istniały np. „Towarzystwa przyjaciół wielkich mocarstw“, dziś natomiast, choć wyniki akcji pokojowej nie są lepsze, zawiązują się „Towarzystwa przyjaciół Ligi Narodów“—to te fakty jedną tylko mogą mieć przyczynę, która je tłumaczy: jest nią przeświadczenie, że gdy chodzi o „wojnę przeciwko wojnie“, o zabezpieczenie pokoju na trwałych istotnie podstawach, Liga Narodów rozporządza, mimo wszystko, bronią nową, której dawne konferencje ambasadorów nie posiadały, a tą bronią, nadzieją pacyfistów, jest jej autorytet moralny. Właśnie ten moralny autorytet Ligi, stale wzrastający, ma nakazać wreszcie poddawanie się ogłaszanym przez nią orzeczeniom, a przeciw państwom opornym szeregować wszystkich pozostałych członków Ligi, zdecydowanych zastosować przewidziane w statucie sankcje. Założyciele Ligi szacowali tę moralną powagę jej decyzyj tak wysoko, że w imię tego autorytetu nadali jej prawo narzucania się w roli rozjemcy nawet wówczas, kiedy spór toczy się między dwoma nie-członkami Ligi (art. 17), zezwolili jej zwracać się z wezwaniem do swych członków, aby ponownie rozpatrywali zawarte między nimi traktaty (art. 19) ustalili, że umowy międzynarodowe członków Ligi nie

*) Wywiad udzielony przedstawicielom prasy dn. 16 września 1926 r. w Genewie.

są ważne, jeśli nie są przez Sekretarjat Ligi zarejestrowane i ogłoszone (art. 18) i t. d. Pozostaje jednakże pytanie: gdzież ma być źródło tak olbrzymiego autorytetu moralnego, pozwalającego Lidze sięgać po stanowisko sędziego narodów, skąd wypływa jej moralna kompetencja i powaga jej postanowień?

2. Nie jest przypadkiem, że siedzibę Ligi Narodów umieszczono właśnie w Genewie, że przebywający tam dyplomaci, z okien modnych hotelów na wybrzeżu, podczas przechadzek lub zasiadłszy w kawiarni nad jeziorem, nieustannie oglądać mogą *Ile Jean - Jacques Rousseau,* małą wysepkę, gdzie na tle malowniczej zieleni postawiono pomnik autorowi „Umowy społecznej". Już sam fakt, że powstanie Ligi Narodów nastąpiło w drodze umowy, i że z tego faktu umowy, nie z założeń metafizycznych czy religijnych, wypływają wszelkie jej uprawnienia, łatwo skłania do wniosku, iż nie gdzieindziej, ale właśnie w racjonalistycznej idei „umowy społecznej" mieści się uzasadnienie roli kierowniczej, którą Liga odgrywać ma w organizowania społeczności międzynarodowej. Propaganda zwolenników Ligi z upodobaniem posługuje się hasłem, że te same prawa, te same zasady regulować winny i współżycie poszczególnych jednostek w państwie i wzajemne współżycie narodów. Wnioskowanie na podstawie powierzchownych analogij, tak charakterystyczne w rozumowaniach doktrynerów liberalizmu i demokracji, musiało ułatwić przyjęcie i szerzenie się teorji, która współżycie państw ujmuje tak samo, jak stosunek jednostki do jednostki w społeczeństwie. W jaki sposób jednak, przy pomocy tej analogji, zasada umowy społecznej wyraziła się w się sposób konkretny w „idei Ligi Narodów"? Związek jest istotny i ścisły.

U podstawy teorji umowy społecznej tkwi założenie, że jednostka zrzeka się częściowo lub całkowicie wolności indywidualnej, aby w drodze „umowy" poddać się władzy i prawom, ustanowionym decyzją „woli powszechnej". To zrzeczenie się wolności indywidualnej, przyrodzonej, motywuje Rousseau twierdzeniem, że „wola powszechna" jest wyrazem rzeczywistej, rozumnej woli jednostki, jest więc tą wolą właśnie, którą jednostka mieć winna, gdyby istotnie zawsze dobrze rozumiała własny interes i nie kierowała się chwilowemi namiętnościami i względami. Łatwo zdać sobie sprawę, iż pogląd taki jest właściwie jedynem uzasadnieniem moralnem uchwał Ligi, powziętych „jednomyślnie poza przedstawicielami stron, spór wiodących" (art. 15) — uchwał, które bez teoretycznego założenia „woli powszechnej" nabrałyby cech pospolitego aktu przemocy ze strony większości. A i to także łatwo bardzo zrozumieć, jak dalece idea ta ponętna jest dla psychiki pacyfisty, który walki narodów tłumaczy rodzajem masowego obłędu, dzięki czemu „drobne kwestje" dumy i godności narodowej wywołują w krajach zainteresowanych ten stan rozdrażnienia, że jedynie „rozsądne" wmieszanie się państw pozostałych może kraje te uchronić od „szaleńczych" decyzyj.

Jest jednak jasne, że w tym właśnie „umownym" charakterze autorytetu Ligi tkwi równocześnie powód, że autorytet ten pozostanie zawsze — wątpliwy. Powaga uchwały, nawet jednomyślnej, okazuje się zupełnie bez wpływu, jeżeli przeciw niej jest fakt, prawda, której się nie poddaje dyskusji, pewnik lub dogmat. Jeśli naród posiada dobra moralne bezwzględne, w które wierzy, jeżeli w imię tych dóbr nie zawaha się przed największym wysiłkiem, poniesieniem najcięższej ofiary—jakież znaczenie mogłyby mieć dla niego uchwały Ligi Narodów, które z faktem tym w dostatecznej mierze się nie liczą, lub go wprost nie uznają? Czyż da się przypuścić, by np. entuzjazm religijny Krzyżowców mógł był na chwilę osłabnąć, gdyby przeciwstawiono mu... uchwałę ligi pogan i kacerzy?

3. Ale związek idei Ligi Narodów z zasadami umowy społecznej sięga o wiele głębiej, dotyczy najistotniejszej ich podstawy. By go wydobyć na jaw, należy przedewszystkiem zestawić dwa fakty niewątpliwe: 1° że Liga Narodów, która byt swój zawdzięcza umowie, może być logiczną, konsekwentną nadbudową państw jedynie wtedy, gdy same te państwa ze swej strony również są jako wyraz idei umowy społecznej ujmowane; 2° że umowa społeczna w swej istocie jest doktryną najściślej personalistyczną, że więc — w myśl tej doktryny — celem państwa nie jest dobro historycznej zbiorowości, narodu, ale dobro jednostek, które w imię indywidualnych interesów powołują do życia państwo na podstawie dobrowolnie zawartego kontraktu. Z tych dwóch założeń całkiem jasno już wypływa wniosek najważniejszy, że i w ideologji Ligi państwo nie jest celem ostatecznym, ale o g n i w e m p o ś r e d n i e m, że natomiast jej podstawą najgłębszą, jak w doktrynie umowy społecznej podstawą państwa, nie jest zbiorowość, ale człowiek „wolny i równy"—jednostka. To też już dzisiaj, jeśli tylko okazuje się to możliwe, z tą jednostką szuka Liga bezpośredniego kontaktu, ochrania ją, organizuje w sposób niezależny od państwa, międzynarodowy. Czyż nie jest znamienny ustrój „Międzynarodowej Konferencji Pracy", gdzie delegacje państw nie są wcale zmuszone głosować solidarnie, i każdy delegat ma prawo występować odrębnie, bronić swych egoistycznych, klasowych interesów?

W tych warunkach idea Ligi Narodów zarysowuje się w sposób jasny i wyraźny: stojąc na straży pokoju, L i g a b r o n i g o w i n t e r e s i e n i e p a ń s t w, l e c z j e d n o s t e k, przy pomocy nacisku międzynarodowego ośmiela i popiera te grupy, które w państwach poszczególnych najsłabiej związane są z narodem, a nie poczuwając się do odpowiedzialności moralnej za jego przyszłość, sprzeciwiają się zwiększaniu przypadających na nie ciężarów, kosztów zbrojeń i wogóle wszelkiej polityce, która może narazić obywateli na konieczność ofiary życia i mienia. Tem jedynie wyjaśnić można np. art. 18 paktu Ligi, który drogą gwarancji międzynarodowej chroni obywateli przed... polityką własnych ich rządów, ogłaszając nieważność traktatów poufnych. Stąd wynika i opieka Ligi nad „mniejszościami". Nawet potrzeba urabiania nastrojów na rzecz Ligi, ów olbrzymi rozpęd propagandowy tem się przedewszystkiem tłumaczy, że Liga Narodów pragnie uzyskać w opinji poszczególnych krajów wpływ bezpośredni, niejako ponad głowami ich rządów i — w razie potrzeby — wpływ ten polityce rządów przeciwstawić. Dawne kongresy, konferencje mocarstw i t. p. doskonale się bez tej reklamy obywały.

To też nie brak zgodności między ideą i jej realizacją, jak się zazwyczaj przypuszcza, ale sama idea właśnie jest powodem, że myśl nacjonalistyczna tak nieufnie, tak wrogo nawet wobec Ligi Narodów się odnosi. Sama idea Ligi zawiera elementy niskie etycznie, rozkładowe, anarchizujące świat przez rozluźnianie naturalnych węzłów moralnych, łączących poszczególne społeczeństwa. Organizacja społeczności narodów, jeśli ma rzeczywiście stać się twórczą siłą dziejową, na innych zupełnie będzie musiała oprzeć się podstawach.

JAN REMBIELIŃSKI

PRZEWAGA POLSKA

I.

DWIE sprzeczne opinje o Polsce ścierają się między Polakami. Jedna z nich wskazuje na chwiejne losy finansów krajowych i prywatnych, druga powołuje się na bogactwa naturalne kraju i żywą siłę narodu. Tylko jedna z nich spotyka się u słuchaczów z miłem przyjęciem, bo przemawia do dumy starożytnego narodu, zaufanego w swe młodzieńcze siły i ochotę do życia.

Żeby ocenić trafność tej drugiej opinji, trzeba jednak mieć przed oczyma otaczające nas przeciwności, które są na miarę wielkiego narodu, to też staje przed nami pytanie, czy Polska ma siły wielkiego narodu, żeby im sprostać. Porównajmy żywą siłę Polski nietylko z sąsiadami ale z pierwszymi narodami świata, żeby znaleść na to odpowiedź całkiem stanowczą.

Żywotność przejawiająca się w szybkim rozroście jest dowodem młodości. Są ludy jak gdyby wiecznie młode, które rozradzają się szybciej od innych w warunkach niepomyślnych, a w warunkach lepszych zalewają kontynenty swoją masą. Przy takim rozmachu ponad ludzką miarę rozwoju, rzadka się zdarza zdolność do podtrzymania życia gromadnego własną wolą. Ludy słowiańskie wschodnie odznaczają się niepospolitą płodnością tak samo w czasach nowych jak przed wiekami. Okazałym jej przykładem jest rozwój żywiołu ukraińskiego. Nie zdołała go wyplenić powtarzająca się co parę wieków ruina, mnożył się on w czasie pokoju znacznie szybciej, niż panujące nad nim, sąsiednie narody i dziś masą swoją zajmuje niepoślednie miejsce w Europie. Wedle spisu ze stycznia 1925r. naliczono na Ukrainie 27 miljonów ludzi, w czem jak wiadomo olbrzymia większość przypada na masę chłopską ukraińską.

Polska dzisiejsza wybija się między narodami przedewszystkiem swą żywą siłą i obok Japonji góruje żywotnością nad wszystkiemi dużemi narodami świata. Ten szybki rozrost znany jest od trzech pokoleń, zdarzał się on i dawnemi czasami, ale nietrwa bynajmniej od wieków. Dzisiejsza żywotność narodu jest tem cenniejsza, że przypadła na epokę krytyczną w losach Polski i jej sąsiadów, że w przeszłości nie była zwykłem zjawiskiem.

W dawnych wiekach rozwój liczebny narodu polskiego odbywał się wolniej, niż u sąsiadów, czego dowodem nie tylko obszar ziemi, zajmowany obecnie przez żywioł niemiecki, polski i ruski, ale przedewszystkiem rozwój ludności w dawnej Rzeczypospolitej, gdzie w ręce polskie dostawały się olbrzymie pustkowia, a pod koniec ich kolonizacji miał żywioł polski przewagę ledwie na $^1/_3$ obszaru dawnej Polski i to na ziemiach nienajlepszych.

W Polsce Piastowskiej i pierwotnej nie było nawet warunków naturalnych do szybkiego rozwoju. Od morza do Karpat pokrywała cały kraj puszcza leśna, przerywana tylko smugami jezior i bagien. Przedłużeniem jej było Polesie Dnieprowe, gdzie dzieło naturalnego osuszenia idzie wolniej, gdzie też zachowało się jeszcze w części pierwotne oblicze ziemi. Znanym w geografji historycznej jest fakt, że stosunkowo świeżej daty jest dzisiejszy kierunek wód wiślanych, który dopiero w epoce historycznej doprowadził stopniowo do osuszenia Polski, dalej, że szerokie pola, zachęcające do uprawy i gęstej osiadłości, występowały u nas tylko na Śląsku oraz w Małopolsce i to w mniejszych rozmiarach niż na Rusi, Węgrzech, Morawie lub w starych ziemiach niemieckich. Niedostatek ziemi uprawnej był tem większy, że pola nad Sanem i Dniestrem były zawojowane w wieku XI przez książąt kijowskich i wchodziły odtąd w skład Rusi.

W miarę pogłębiania koryta rzek wymarzały z jezior bagna, na których z kolei powstawały łęgi i łąki i tak bardzo powoli powiększały się wśród puszczy miejsca łatwiejsze do uprawy i osady ludzkiej. Zanim dawni Polacy zabrali się do masowego karczowania gęstych lasów, stojących na wyniosłościach, postępowało gospodarstwo i osadnictwo tylko w miarę osuszania równin ciągnących się nad wodami. W tych warunkach rozwijał się żywioł polski wolniej, niż nasi sąsiedzi, ale zato zrastał się z ziemią mocniej, a w zwartej masie. Tak starożytni Ateńczycy, osiedli w Attyce od czasów niepamiętnych, podnosili swe przeciwieństwa do innych szczepów Helleńskich i mówili o sobie z dumą, że z ziemi wyrośli (autochthones). Nasz naród wyrósł równocześnie z ziemią ojczystą, która w oczach naszych ojców wynurzała się z wód i zamieniała się w ich ręku na łąki i pola.

Nowe warunki życia przyniosła kolonizacja niemiecka po miastach i osadzanie wsi na prawie niemieckiem, które dało hasło do masowego rozszerzania roli kosztem lasów. Okazało się, że zarówno odporność, jak siła asymilacyjna narodu polskiego były większe, niż przypuszczali koloniści. Warunki pierwotnego rozwoju odbiły się na następnych pokoleniach i skutki ich trwają aż do naszych czasów. W zwartej masie gromada polska okazywała zawsze niepospolitą odporność i dziedziczną siłę do wchłaniania żywiołu obcego, w rozproszeniu zaś mierna jest ciągle nasza zdolność do wrastania w cudzą ziemię.

To też mimo ogromnego rozszerzenia granic Państwa, żywioł polski w miarę pojemności obszaru zajętego pierwotnie przez pradziadów, tylko w stronę Litwy posuwał daleko swe siedziby i tam zdołał utrzymać się na zajętych stanowiskach, bo—tak samo przed wiekami jak obecnie—była Litwa ludem mniej od Polaków żywotnym. Od ściany ruskiej postępy są także widoczne, ale nieznaczne w stosunku do rozmiarów pustkowi, które były zaludniane dopiero za czasów polskich. Lud mazowiecki, górujący ruchliwością nad innemi szczepami narodu, docierał w swoim pochodzie do najdalszych kresów Rzeczypospolitej, ale trudno porównywać wyniki tej kolonizacji do równoległego pochodu niemieckiego na ziemie polskie.

W r. 1772, wedle obliczeń Korzona, nie dochodziła cała ludność Rzeczypospolitej do 8 miljonów. Zaludnienie Polski było przeciętnie rzadsze, niż na Zachodzie i Południu, zaczynając od Czech i Węgier.

Wiek XIX jest epoką ogromnego postępu w żywotności Polaków i to wszystkich szczepów bez wyjątku, od Krakowiaków i Slązaków aż do Mazurów pruskich. Nie zatrzymując się nad zagadnieniem, jaką rolę odegrały tu czy zmiana ustroju społecznego i uwłaszczenie chłopów, czy też postęp gospodarczy, przejdziemy do uderzającego zjawiska, że obecnie po przebyciu wojny, odznacza się nadal naród polski tą samą żywotnością, a tymczasem słabnie ona widocznie u wszystkich niemal narodów europejskich, w Starym i Nowym Świecie. W świetle cyfr statystycznych występuje tak wielka rożnica dojrzałości między narodami, że z roku na rok zmienia się w świecie równowaga na korzyść Polski i paru innych krajów, a na niekorzyść tych narodów, które od kilku wieków szły

na czele cywilizacji i z ludzi swego szczepu tworzyły nowe światy.

Przyrost ludności w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1923 — 1925

	Rocznik urodzeń	Rocznik przyrostu	Skala urodzeń	Skala przyrostu
	w tysiącach		na 1,000 mieszk.	
Rumunja	615	232	36	13
Węgry	230	77	28	11
Czechosłowacja	365	152	26	11
Małopolska	267	117	34	15
3 Woj. Zachodnie	136	70	32	16
7 Województw	**403**	**187**	**33,6**	**15**
Państwo Pruskie	809	313	21	8
Prusy Wschodnie	57	26	25	11
Mazury pruskie	16	8	29	16
Śląsk Górny pruski	41	20	30	14
Woj. Śląskie	40	21	33	17

Żywa siła Polski i jej okazała przewaga nad krajami sąsiedniemi występuje wyraźnie w powyższem zestawieniu. Na obszarze 4 województw małopolskich, Śląska, Poznańskiego i Pomorza, razem 7 województw, gdzie prowadzi się dokładną ewidencję ruchu ludności, rodziło się w latach 1923 — 25 przeciętnie po 403 tysiące dzieci. Rocznik zmarłych na tym obszarze kraju wynosił przeciętnie 216 tysięcy, wobec czego nadwyżka t.j. przyrost naturalny, dawała przeciętnie w tych trzech latach po 187 tysięcy ludzi rocznie. Wedle spisu 20 września 1921 naliczono w Małopolsce 7.485 tysięcy, w trzech zaś województwach zachodnich 4.039 tys., razem w siedmiu województwach 11.524 tys. ludzi, po doliczeniu zaś przyrostu dochodziłaby ludność w połowie r. 1924 do 12 miljonów w obu dzielnicach. Ze względu na emigrację była ona nieco mniejsza. Przyjmując za podstawę nawet sumę 12 miljonów, przekonujemy się, że na 1000 mieszkańców kraju rodziło się przeciętnie z górą 33 dzieci, oraz że przyrost roczny przynosił więcej niż 15‰ na tym obszarze kraju, na Zachodzie zaś przekraczał nawet skalę 16, wreszcie w woj. Śląskiem wynosił on przeciętnie 17 na 1000 ludności.

W porównaniu z innemi krajami Europy jest to niewątpliwie świetny obraz rozwoju. Skala urodzeń 33‰ ustępuje tylko rumuńskiej, która za to odznacza się wysoką śmiertelnością, więc jej przyrost naturalny jest stosunkowo i bezwzględnie niższy od polskiego. Pozatem bezpośrednio po wojnie notowano wyższy nawet przyrost w Bułgarji, ale nie wiadomo, czy utrzymał się on na wysokości w ostatnich latach. Natomiast ustępują Polsce wszystkie kraje sąsiednie, a wśród nich mają Prusy najniższą skalę urodzeń i najniższy przyrost. Dwie tylko ziemie, Śląsk opolski i Mazury (rejencja olsztyńska) zamieszkałe w przeważającej części przez żywioł polski, wykazują skalę urodzeń i przyrostu, zbliżoną do naszej. Jest to skala wyjątkowo wysoka wśród innych prowincyj niemieckich, a przytem jest to dowód polskiego charakteru tych krajów wymowniejszy od urzędowej statystyki języka ojczystego.

Rocznik urodzeń był wyższy przed wojną. Skala 44‰, zjawisko wyjątkowe we współczesnej ludzkości, była miarą żywotnego rozmachu ludności polskiej pod koniec XIX wieku. Na krótko przed wojną osunął się rocznik urodzeń do 36‰ i choć obecnie jest on niższy, odbiło się to na przyroście w mniejszym stopniu, gdyż liczba zmarłych zmniejszyła się w Polsce w stosunku do wzrastającej liczby ludności i opada z każdym rokiem nawet bezwzględnie, mimo przyrostu ludności, o czem świadczy następująca tablica:

OPADANIE ŚMIERTELNOŚCI

	Województwa:	R. 1920	R. 1922	R. 1923	R. 1925
		Liczba zmarłych w tysiącach			
a)	Krakowskie	52	40	38	36
b)	Lwowskie	78	58	53	54
c)	Tarnopolskie	50	27	28	27
d)	Stanisławowskie	45	30	27	26
	Małopolska	225	155	146	143
		R. 1913			
e) f)	Pomorskie, Poznańskie	63	51	49	45
g)	Śląskie	22	—	21	17
	3 woj. zachodnie	85	—	70	62
	7 województw	**310**	—	**216**	—
h)	Śląsk Górny niem.		25	25	19

Pouczające jest zestawienie śmiertelności na Górnym Śląsku po obu stronach granicy. Część kraju, która przypadła Niemcom, liczyła 1299 tys. ludności w r. 1919 i 1371 tys. w r. 1925. Przyrost faktyczny 72 tys., uzyskany w ciągu lat 6 przypada na cztery ostatnie lata, gdy śmiertelność spadła znacznie poniżej skali urodzeń.

Polska część Górnego Śląska liczyła 980 tys. ludności w r. 1919, a po dodaniu Cieszyńskiego przyjmuje się w statystyce polskiej ludność całego województwa Śląskiego we wrześniu 1921 na 1125 tysiące, t. j. o 13% mniej niż po stronie niemieckiej. Mimo to przyrost roczny jest po polskiej stronie nawet bezwzględnie wyższy, niż po stronie pruskiej i to zarówno wskutek wyższej skali urodzeń jak i niższej skali śmiertelności.

W całem województwie Śląskiem skala śmierci— w porównaniu do liczby całej ludności w każdym roku — jest nieco niższa od skali prowincji pruskiej, choć i tu widoczna jest różnica korzystna po naszej stronie. Przewaga polska występuje okazale w porównaniu przyrostu naturalnego w stosunku do ludności każdego kraju.

Na 1000 mieszkańców kraju przybyło ludności:

	w wojew. Śląskiem	na Śląsku Górnym pruskim
1922	—	14
1925	16	12
1924	19	15
1925	18	15

Ta różnica między dwoma krajami jest tem więcej uderzająca, że nie różnią się one ani składem etnograficznym, ani budową ekonomiczną.

Ci sami Ślązacy, w znacznej większości robotnicy lub zagrodnicy na paru morgach ziemi, stanowią masę ludności po obu stronach granicy. Mimo to wystarczyło 4 lata gospodarki polskiej, żeby w kraju nastał łatwiejszy typ życia, który przynosi większą ilość dzieci i przedłuża życie dzieciom i dorosłym. Jest to wynik tem więcej pocieszający, że w całych Niemczech, a także na Śląsku pruskim maleje śmiertelność bardzo widocznie, a jednak w Polsce postęp zdrowia idzie jeszcze szybszym krokiem.

Przewaga polska występuje nie tylko na Śląsku. Na całym Zachodzie i na Południu Polski, w odległych od siebie stronach kraju widzimy tak znaczne zmniejszenie śmiertelności w porównaniu z epoką rządów obcych, jakiego niema w ruchu ludności innego kraju, mimo że prawie wszędzie w Starym i Nowym Świecie stwierdza statystyka równoległe choć mniej mocne obniżenie. A gdy dodamy, że ten pomyślny ruch wy-

stępuje we wszystkich ziemiach polskich, objętych statystyką, u Polaków, Rusinów, Żydów, mamy niewątpliwy dowód stopniowego i stałego podwyższania stanu kultury, stopy życia i zdrowia w całej masie ludności.

Różni się jednak Polska jeszcze tem od innych krajów, że równocześnie utrzymuje się u nas wysoki stopień urodzeń, że pomyślny nasz rozwój wynika ze zdrowia, odwagi i ochoty do życia młodego narodu. Są poza nami w świecie tylko dwa duże państwa, Japonja i Włochy, gdzie przy zmniejszeniu śmiertelności występuje masa urodzeń bardzo wysoka.

BOLESŁAW BATOR

O USTRÓJ SZKOLNICTWA W POLSCE

W CAŁEJ niemal Europie w związku z powojennemi przemianami wzmógł się silny ruch reformatorski na polu szkolnictwa, nie ograniczając się, jak dawniej, do teoretycznych roztrząsań i nieśmiałych prób, lecz często z żywiołowym impetem wprowadzając nowe idee i urządzenia.

W ruchu tym bardzo wyraźnie, jak zresztą nie pierwszy raz w historji, zaznaczyła się różnica kulturalna między wschodem, a zachodem: Wschód, którego jaskrawym przedstawicielem jest bolszewicki Związek Republik Rad, niszczy przedewszystkiem całą przeszłość, buduje od nowa, pryncypjalnie, nie bacząc, czy nowa budowa jest lepsza od zburzonej. Zniesiono tam odrębne szkoły średnie, rozbito uniwersytety, stworzono jednolitą wspólną szkołę ogólną, potworzono liczne „fakultety robotnicze".

Inaczej na zachodzie. Tam postępuje się naogół bardzo ostrożnie. Z wyjątkiem miniaturowej Austrji, która gruntownie i odrazu zreformowała swój system szkolny, gdzieindziej pracuje się bardzo oględnie i systematycznie: Niemcy tworzą nowe, próbne szkoły, nie zarzucając dawnych typów wypróbowanych, nawet radykalne rządy francuskie wprowadzają zmiany stosunkowo nieznaczne, nie zrywają z przeszłością Włochy Mussoliniego.

Lecz różnice zaznaczają się nie tylko w ustroju, są one znacznie głębsze, siegają podstaw zasadniczych i ducha szkoły. Dość wspomnieć, że szkoły sowieckie wyrzucają nie tylko religję ze szkoły, ale i historję, a Mussolini z nauki religji chce stworzy „podstawę wychowawczą i dydaktyczną" całego stopnia elementarnego nauczania.

A u nas?

Sprawa bardziej paląca, niż gdzieindziej, boć przecież przed wojną nie mieliśmy niezaleźnego, państwowego szkolnictwa. Wielki, wiosną 1919 roku zwołany w Warszawie t. zw. „Sejm nauczycielski", odbyty w atmosferze rewolucji i przewrotów, jak pierwszy Sejm ustawodawczy, poszedł w kierunku radykalnym, nie licząc się z przeszłością, potrzebami i środkami, uległ demagogicznym hasłom większości. Na drogę też kompromisu z temi demagogicznemi hasłami poszli urzędowi twórcy szkolnictwa. Niewątpliwie pragnęli oni uczynić zadość wymaganiom czasu i kultury, starali się uwzględnić najnowsze zdobycze wiedzy, wprowadzić najbardziej postępowe metody uczenia, położyli silny nacisk na stronę wychowawczą. Lecz zbyt oślepieni byli fascynującemi hasłami, reklamowanemi szeroko, i choć sami niektórzy w nie nie wierzyli, nie mieli odwagi im się przeciwstawić. Ani nie liczyli się z przeszłością, z nauką historji, ani z możnością realizacji i wobec tego wiele nawet pięknych pomysłów w przeważnej ilości wypadków zostało na papierze. Stwarzano teorje i doktryny, a nie liczono się z życiem, stąd rozczarowania i zawody.

Z całym pietyzmem opracowano piękny program gimnazjum matematyczno-przyrodniczego, który miał się stać dominującym w państwie razem z „narodowym" neohumanistycznym, bez łaciny. Zreformowano (a może wykoszlawiono) gimnazjum klasyczne, które przeznaczono dla nielicznych wybrańców o literackich umysłach, na wymarcie przeznaczono typ humanistyczny z łaciną, którego program, jakby umyślnie, skonstruowano bez przewodniej myśli, niekonsekwentnie, niewspółcześnie.

Podważono konstrukcję zasadniczą całego gimnazjum tworząc t. zw. wspólną podbudowę, w teorji „uzgodnioną" z wyższemi stopniami szkoły powszechnej, zamiast organicznego związania z cyklem wyższym.

I oto życie przekreśliło teorję i sztuczne rachuby. Gimnazja matem.-przyrodnicze, niewyposażone w dostateczne środki materjalne, nie mogą spełniać pokładanych nadziei, frekwencja w nich wskutek tego z biegiem czasu nie rośnie, lecz maleje, zwłaszcza, że i z góry, od szkół akademickich, spotykają się z nieufnością, a niektóre wydziały zamykają wprost wrota przed ich maturzystami. Typ neohumanistyczny prawie nie istnieje, nie przyjmuje się też, nie mając naturalnych podstaw, typ klasyczny nowy, a w pełni zato utrzymuje się typ dawny z łaciną od klasy pierwszej tam, gdzie udało się go obronić.

Natomiast skazany na zagładę, lichy i niekonsekwentnie zbudowany typ humanistyczny, pleni się jak chwast wśród zboża i, zwłaszcza po prowincji, staje się groźnym dla wszystkich innych.

Ogół i czynniki decydujące nie są zadowolone z obecnej szkoły. Rozmaite kategorje szkół czynią sobie wzajemnie wymówki, krytykuje szkołę społeczeństwo. Lapidarnie scharakteryzował podobno dzisiejszą szkołę wicepremjer Bartel, mówiąc przy rozpoczęciu narad nad jej reformą, że uczy „długo, mało i źle". Pomysły jawią się bardzo różne i z różnych stron. Jaką drogą pójdziemy, czy jak dotąd, z zachodem, czy przeważymy się ku systemom sowieckim, czy zechcemy przeszczepiać egzotica amerykańskie?

Liczne i rozmaite są pomysły. I, rzecz charakterystyczna, ciągle w nich czuć jeszcze podmuchy „czerwonej rewolucji", chęć „demokratycznej" równości, a właściwie niwelacji. Nie słychać o reformach włoskich, o czasowych choćby dążeniach Francji do silnego podkreślenia tradycji kultury łacińskiej, o próbach naprawy szkół amerykańskich, drogą... europeizacji.

Nawet okrzyczane przez lewicę jako „wsteczne i reakcyjne" projekty min. St. Grabskiego, dążyły przecie do kompromisu z „postulatami demokracji i postępu". Wydana przez „Związek strzelecki" książka p. Bogusławskiego wyraźnie propaguje system sowiecki: zniesienie gimnazjów i uniwersytetów, a utrzymanie jedynie jednolitej 12-letniej szkoły „obywatelskiej", wolnej, bez przymusu i karności, bez ocen i świadectw, uzupełnionej potem wyższemi szkołami fachowemi o wojskowej niemal dyscyplinie po 12 latach bujania i rozwydrzenia. A niektóre pisma pedagogiczne i organizacje zachwycają się temi pomysłami, nazywając je wizjami idealnej przyszłości. Narazie natomiast forsuje się hasło t. zw. szkoły jednolitej. Szkoły powszech-

nej siedmioklasowej, jednakiej i wspólnej dla wszystkich, na której opierałyby się dalsze typy, więc obcięte do lat 4 lub 5 gimnazjum, z dalszemi studjami akademickiemi, przeróżne szkoły zawodowe średnie. To uważa się za minimalny postulat współczesnej demokracji.

Oderwanie trzech niższych klas uważam za pomysł nieszczęśliwy—nie tylko „przedwczesny", jak mówią ci, co boją się wystąpić z podniesioną przyłbicą i nazwać rzecz po imieniu, — ale i w przyszłości wprost szkodliwy dla rozwoju kultury. Oto ważniejsze argumenty:

1) Jeszcze Binet w swych badaniach przekonał się, że ilość dzieci wybijających się ponad przeciętny poziom wynosi 20%, wobec 25% zacofanych. Subtelniejsze badania przeprowadzone w czasie wojny w Ameryce wykazały, że wśród tych uzdolnionych tylko 4—5% wykazuje zdolności wybitne, kwalifikujące do wyższych studjów i objęcia stanowisk samodzielnie twórczych, kierowniczych. Godzi się z tem statystyka, wykazująca w Ameryce samoistnych i w pełni twórczych fachowców 6%. Odpowiada temu statystyka szkolna w państwach europejskich. Z wyjątkiem Szwajcarji, gdzie stosunki wogóle są odmienne, wszędzie tam, gdzie wyższa kultura, gdzie większy % dzieci uczęszcza do szkół powszechnych, gdzie analfabetyzm mniejszy, tam gimnazja stanowią odsetek mniejszy ogółu uczącej się młodzieży. I tak we Francji stanowią 3,3%, w Niemczech 6,4%, Czechosłowacji 2,5%, u nas 7,2%, na Litwie natomiast 9,0%.

Cele i zadania nauki w szkole powszechnej są inne, niż w szkole średniej. Nauka musi się tam przystosować do tej przygniatającej większości, wśród których ów mały % wybitnie zdolnych jedynie traci, nie uczy się, rozleniwia i demoralizuje. Inne postawienie sprawy byłoby zapoznaniem przeznaczenia szkoły powszechnej, która właśnie ma to wielkie zadanie pracy nad szerokim ogółem. A więc przy takim ustroju, w którym przez długie lata razem uczyliby się wszyscy, marnowałyby się żywioły najcenniejsze, a w dalszym ciągu z konieczności musiałoby nastąpić dalsze obniżenie szkół średnich i wyższych, a więc obniżenie kulturalne.

2) Przejście do gimnazjum w takim ustroju odbywałoby się w wieku lat 14, więc w początkowym okresie dojrzewania. W okresie tym następuje, jak wiadomo, czasowe zahamowanie, a nawet uwstecznienie rozwoju umysłowego, jawią się rozmaite narowy, zwłaszcza wyraźne u jednostek wybitnych. I wtedy właśnie miałaby ta młodzież nie tylko rozpoczynać nowe, znacznie trudniejsze i inaczej prowadzone studjum, ale wchodzić w nową szkołę, pod nowych, zupełnie nieznających ich nauczycieli. Wprawdzie w podobnem położeniu znajduje się młodzież idąca do szkół zawodowych, ale z jednej strony nauka w szkołach zawodowych mniej odbiega od nauki poprzedniej, wymaga wielu zajęć ręcznych, a mniej teorji i abstrakcji, z drugiej strony skierowuje się tam młodzież mająca mniejsze upodobania i zdolności intelektualne, więc i wolniej się rozwijająca, przechodząca kryzys wolniej i łagodniej. Naturalnie, że i tu byłaby pożądana w każdym razie dłuższa ciągłość nauki w tej samej szkole i jawią się pomysły organizowania klas przygotowawczych, w każdym razie powinniśmy chronić tę najsubtelniejszą i kulturalnie najcenniejszą część młodzieży i zapewnić jej jednolity i harmonijny rozwój.

3) Wobec obniżenia nauki w szkole powszechnej w porównaniu do klas niższych gimnazjum, pracującego z wybranymi, rodzice zamożni, mający dzieci zdolniejsze, mogliby jeszcze uzupełnić ich wiedzę i rozwinąć lepiej umysłowo drogą dopełniającej nauki domowej, na co warstwy ubogie nie mogą sobie pozwolić. Pomysł więc nie jest „demokratyczny", jak głoszą jego zwolennicy, ale w praktyce „plutokratyczny".

4) Wobec mniejszej ilości dzieci po wsiach, albo szkoły muszą być niższego typu (nawet 1-o lub dwuizbowej), a w takim razie nauka jest gorsza, albo musi się łączyć razem bardzo odległe miejscowości, a w takim razie dzieci męczą się marszem, tracą czas i w każdym razie przyjdą do gimnazjum gorzej przygotowane. Nadto wchodzą w wir miejskiego życia w okresie krytycznym, co ułatwia im jeszcze zejście na bezdroża. Więc gimnazjum 5-io klasowe zwraca się przedewszystkiem przeciw szerokim rzeszom ludu wiejskiego i odcina dopływ tych zdrowych sił narodu do inteligencji. Korzystne jest natomiast dla bogatego i skupionego po miastach żydostwa i stąd hałaśliwie reklamowane, jako wyraz „demokracji i postępu".

5) Na Kresach Wschodnich dalsze niebezpieczeństwo o narodowym charakterze. Oto po wsiach ludność polska przeważnie stanowi mniejszość. Więc dzieci polskie, ucząc się w szkołach polskich niżej zorganizowanych, będą gorzej przygotowane i nie dostaną się do szkoły średniej, albo będą musiały kształcić się w szkole utrakwistycznej lub nawet ruskiej, na czem stracą językowo i znów przedstawią się gorzej. Pomijam fakt, że dążenie do łączenia szkół w wyższe typy odbiło się już fatalnie na polskim stanie posiadania w dziedzinie kulturalnej, bo to nie należy do omawianego tematu.

6) Nauka języków, tak ważna dla pracy naukowej, w szkole powszechnej nie może być ani tak wielostronnie, ani tak gruntownie, z uwagi na wyrobienie językowe nauczycieli, prowadzona. Musiałaby być przesunięta na lata późniejsze do gimnazjum, co z uwagi na łatwość uczenia się języków w młodszym wieku jest niewskazane. Doświadczenie we Lwowie okazało w ciągu lat ostatnich, że wyniki nauki łaciny w gimnazjach klasycznych nowego typu, zaczynających ten przedmiot w klasie V, są bez porównania gorsze, niż w gimnazjach dawnych z łaciną od I. Na uczenie zaś drugiego języka nowożytnego, choćby nadobowiązkowo, w gimnazjum 5-io klasowem wprost brakłoby czasu.

Świeżo dowiedzieliśmy się, że w powołanej przez p. Bartla komisji ministerjalnej zwyciężył pogląd p. Radwana, że wykształcenie średnie ma być ograniczone do lat 5 i oparte na 7-mioklasowej szkole powszechnej. W tem 5-cioleciu ma się jednak zawrzeć, prócz ogólnego wykształcenia, jeszcze przygotowanie do szkół akademickich, tak, że właściwie wykształcenie ogólne będzie ograniczone do lat 3 czy 4, bo komunikat niezbyt jasno rzecz tę przedstawia. Ma być zniesiona matura, niema mowy o egzaminie wstępnym do szkoły średniej „ogólnokształcącej", natomiast wprowadza się egzamin wstępny do gimnazjum dwuletniego, przygotowującego wyłącznie do studjów wyższych, a potem egzaminy wstępne do uczelni akademickich. Nie znamy celu i zakresu tych dwu egzaminów, wybranie właśnie tych dwu w samem założeniu nasuwa poważne wątpliwości. Oto przedewszystkiem, wobec braku egzaminu wstępnego do szkoły średniej, frekwencja w niej jeszcze bardziej wzrośnie, jeszcze więcej więc będzie adeptów do studjów akademickich, do t. zw. wyższych stanowisk. Czy brak nam może „inteligencji", ludzi z patentami, tak, że należy ułatwiać zdobycie dyplomów, by módz obsadzić wyższe stanowiska krajowcami, a nie uciekać się do sprowadzania cudzoziemców, jak to czynią choćby niektóre nowe państwa?

Powołam się tu na wywody prof. W. Świętosławskiego, a więc człowieka, którego nie można posądzać o zacofanie lub obskurantyzm. Oblicza on kontygent inteligencji zajętej w zawodach wolnych i urzędach, wymagających studjów akademickich na 125.000. Przyjmując roczne zapotrzebowanie stanowiące 1/20 ogółu otrzymujemy kontyngent 6250 osób. Tylu powinny rocznie wypuszczać w świat szkoły akademickie, nie wiele więcej miałyby rocznie przyjmować, wobec tego, że na studja wyższe powinny wstępować jednostki prawdziwie uzdolnione, wyrobione i przygotowane tak, by niepowodzenia były czemś wyjątkowem. Jeżeli więc przyjmiemy roczny napływ 7000, powinien on być nawet w nadmierze wystarczający.

Gimnazjów mamy na terenie Rzeczypospolitej przeszło 780 (786). Gdyby każdy zakład wypuszczał tylko 20 maturzystów, (a wiemy, że są zakłady o oddziałach równorzędnych, liczących dwukrotną liczbę nierzadko) otrzymamy 15.600 adeptów do szkół wyższych, a więc z górą dwa razy za dużo. Gdybyśmy uwzględnili tylko gimnazja męskie, a koedukacyjne w połowie, otrzymamy minimalną cyfrę 8.400 kandydatów, więc o 1½ tysiąca za dużo. Przeciw tym muszą się bronić szkoły wyższe drogą egzaminów konkrursowych, ograniczeń liczbowych (*numerus clausus).* Nieprzyjęci, a tak samo odrzuceni w toku studjów akademickich, do których nieraz w pocie czoła, z uszczerbkiem zdrowia dążyli, to zastęp malkontentów, doskonały materjał na przewrotowców rozsadzających państwo. Projektowany ustrój ilość ich wzmógłby znacznie, pomijając marnowanie sił i grosza na kształcenie ich wieloletnie bez zamierzonego wyniku.

Ale ma się stać zadość demagogicznej doktrynie „jednolitości szkoły“, udostępnienia studjów szerokim warstwom, bo taką etykietkę przyczepiono tym hasłom.

Ja widze inną drogę: zamiast ułudy i blichtru wprowadzić zasady, które godzą się z interesem państwa i prowadzą każdą jednostkę na właściwe stanowisko, a to stać się może drogą ścisłego, wielokrotnego i jak najwcześniej wprowadzonego doboru.

*

Opracowując system szkolny powinno się, mojem zdaniem, uwzględnić następujące czynniki:

1) Tradycję historyczną, zdobycze i doświadczenia przeszłości;

2) potrzeby chwili bieżącej, zgodnie z współczesnym stanem nauki i cywilizacji;

3) pragnienia i dążenia społeczeństwa, wynikłe nie tylko z dwu poprzednich czynników, ale też określonego i stałego podłoża rasowo-etnicznego, a oczyszczone z demagogicznych haseł narzucanych sztucznie;

4) możliwość realizacji w czasie niedługim, marzenia bowiem na dziesiątki lat, stwarzają jedynie niezaspokojone nadzieje, które, nim zostaną spełnione, staną się przestarzałe nieraz i nieaktualne i będą zastąpione przez nowe, dziś jeszcze nieznane hasła i potrzeby. [1])

Nie o wszystkich tych zasadach pamiętali twórcy naszego szkolnictwa, stąd zawody i niepowodzenia.

Nie będę tu przedstawiał szczegółowego projektu organizacji szkolnictwa, podałem go ostatnio, po ustaleniu wytycznych na zebraniu specjalnej komisji Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych we Lwowie, na łamach „Przeglądu Pedagogicznego“(R. XLV, 1926, Z. 38); tu ograniczę się do najzwięźlejszego zestawienia jego zasad.

Wytyczną w miejsce dwuznacznej „jedności“ czy „jednolitości“ powinno być „organiczne sharmonizowanie“ szkół i stopni, przy zastosowaniu ścisłego i wielokrotnego d o b o r u.

Pierwsza selekcja może i powinna nastąpić wtedy, gdy zaznaczają się pewne ogólne upodobania i zdolności, kiedy można ocenić, czy dany osobnik nadaje się do przyszłego studjum teoretycznego, czy też, jak przeważająca większość, powinien się poświęcić zajęciom praktycznym. Stać się to może po 3 względnie 4 latach nauki początkowej, jednakiej dla wszystkich. Wtedy powinno się oddzielić zdolniejszych i skierować ich do szkoły średniej. Przeważna większość uczyłaby się dalej w szkole powszechnej, z tych część po jej ukończeniu przeszłaby do rozmaitych typów szkół zawodowych, na podstawie znów odpowiedniego doboru wedle upodobań i uzdolnień, reszta, w obecnych czasach zapewne większość, na niej zakończyłaby swe nauki, a ewentualnie znalazła uzupełnienie na różnych kursach dokształcających.

Oczywiście ten dobór nie będzie ścisły, nie wyłączy pewnych pomyłek, do szkoły średniej więc należałoby przyjąć więcej, niż ją ukończy, dobór jako pierwszy i próbny musi być łagodny i oględny. Przy nim, sądzę, przejdzie do gimnazjum nie tylko tych 5% wybitnie uzdolnionych, lecz przynajmniej drugie tyle mniej zdolnych lub pilnych, których w ciągu studjów gimnazjalnych trzeba zwrócić do szkół zawodowych i praktycznych stanowisk. Dobór będzie się więc musiało stosować w ciągu gimnazjum 8-letniego. Nawiązując do tradycji historycznej i w zgodzie z niedwuznacznie ujawnioną wolą społeczeństwa, szkoła średnia powinna być „łacińska“, ale przytem ostatecznie uważam, zgodnie z opinją lwowską, że gimnazjum powinno być jednolite lat 5 i uwzględnić naukę łaciny od początku, oraz nie zaniedbywać współczesnych nauk. Po trzech latach nauki należałoby dokonać drugiego doboru i mniej zdolnych wyłączyć ze szkoły średniej, zwrócić znów do zawodów praktycznych. Po 5 roku jednolitej nauki w gimnazjum należałoby znów zastosować selekcję, ale w innym już kierunku, wtedy bowiem zaznaczają się określone jakościowo zdolności i upodobania. Wtedy więc należałoby wprowadzić zróżnicowanie na typy i młodzież wedle zdolności i upodobań rozdzielić. Teoretycznie byłaby pożądana znaczna rozmaitość typów, w praktyce jednak będziemy musieli ograniczyć się do bifurkacji i uwzględniania typu matematyczno-przyrodniczego i klasycznego tak, by w każdym niemal zakładzie oba mogły być reprezentowane. Ostatni dobór nastąpiłby przy ukończeniu gimnazjum, któreby uprawniało jednako, bez względu na typ, do studjów akademickich o ile kandydat zdobył wystarczające przygotowanie do studjów fachowych co zresztą mógłby uzupełnić drogą samouctwa, lub przy pomocy lektoratów, podających, jak wiadomo przedmiot od początków. Odpowiedni system ocen i egzaminów, a przedewszystkiem troskliwa opieka i znajomość wychowanków ze strony nauczycieli-wychowawców, dokona należytego doboru i skieruje każdego na właściwą drogę. W takim razie jeśli nawet gdzieś w zapadłym przysiółku nauczyciel wykryje

---

[1]) Podaje się czasem pomysły, o których sami autorowie mówią, że ich realizacja będzie mogła nastąpić może za lat 50. Jak papierowe są takie wszystkie pomysły zwłaszcza w dzisiejszych czasach szybkiego postępu, choćby technicznego! Czy możemy wiedzieć, jak będzie wyglądała szkoła za lat 50 wobec dalszego rozwoju radjotechniki i środków lokomocji? Gdy można będzie słuchać wykładów największych uczonych mimo odległości setek i tysięcy kilometrów! Jak nieaktualna może się okazać konstrukcja „sieci szkolnej“ choćby np. w razie spopularyzowania się i udostępnienia lotnictwa jako środka codziennej lokomocji, przy którym przyjazd z Łodzi lub Ostrołeki do Warszawy albo z Bydgoszczy do Poznania, nawet przy dzisiejszej prędkości samolotów, będzie szybszy i mniej wyczerpujący, niż obecnie marsz z niejednego przysiółka do „centralnej“ szkoły wyższego typu.

w swej jednoklasówce wybitny talent, powinien go zwrócić do odpowiedniego studjum i tą drogą zapewnić ożywiony dopływ sił ludowych do inteligencji. Zadaniem samorządów byłoby fundowanie potrzebnych burs i stypendjów dla studjujących czy to w szkołach zawodowych, czy w gimnazjach i akademjach, zamiast wysilać się na licho, ledwie wegetujące gimnazja.

Robiono mi zarzut, że zbyt wcześnie domagam się selekcji, że przecie z gimnazjum znaczny procent odpada, że zatem należy selekcję przesunąć na czas późniejszy, po szkole powszechnej. Pogląd błędny! Jeśli z gimnazjum wielu odpada, to właśnie świadczy, że dobór musi być wielokrotnie powtarzany, a więc tem wcześniej trzeba go stosować, by mieć czas na powtórzenie i dokładne, na dłuższej obserwacji oparte, poznanie ucznia.

A jeśli będą błędy? Jeśli się wykluczy przez pomyłkę jakąś jednostkę wartościową? Uważam pomyłki i błędy za rzecz nieuniknioną, ale będą one rzadsze, jeśli dobór będzie odbywał się spokojniej, w dłuższym czasie, jeśli nie zmarnuje się wybitnych jałową nauką w szarym tłumie. Dla tych fałszywie ujemnie osądzonych, których zresztą liczba byłaby niezbyt duża, możnaby pod pewnemi warunkami otworzyć dostęp do szkół wyższych.

W dzisiejszych czasach kulturalnego zróżnicowania i specjalizacji niwelacja jest niemożliwa pod grozą cofnięcia kultury narodu, a my przecie mamy drogę znaczną, wszak mamy nadrobić zaniedbania okresu niewoli. Jaknajwcześniejszy dobór, jak najgruntowniejsza praca i wyzyskanie jak najekonomiczniejsze wrodzonych sił, winny być naszem hasłem. Tylko tą drogą dojdziemy do tego, by wyprzeć pozę i dyletantyzm, by każdy był na odpowiedniem stanowisku i by na każdem stanowisku był odpowiedni człowiek.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NIEZNANE POEZJE KASPROWICZA

I. WIERSZE Z PAMIĘTNIKA

TWÓRCZOŚĆ młodzieńcza Kasprowicza dotychczas była nam prawie nieznana. Zachowała się wprawdzie wiadomość o tem, że już na ławie szkolnej w Inowrocławiu siedemnastoletni Kasprowicz pisywał sonety i że chciał je ogłosić w poznańskim „Lechu". Jednak redakcja tego czasopisma uznała je za „niezłe jako ćwiczenia, lecz nie tak doskonałe, aby je można drukować" i dlatego też „tylko dla zachęty"—jak brzmiała jej odpowiedź—ogłosiła w nr. 5 z dn. 2 lutego 1878 „najlepszy z sonetów" pod tytułem „Poranek" [1]). Natomiast reszta tych bodaj czy nie najwcześniejszych ćwiczeń poetyckich — jak dotąd przynajmniej — znikła gdzieś bez śladu.

Z opowiadań samego Kasprowicza wiadomo [2]), iż jako uczeń sekundy w inowrocławskiem gimnazjum, a więc w roku szkolnym 1879/80 napisał dwa wiersze niemieckie: „*Die Macht des Gesanges*" i „*Agamemnons Tod und Rache des Orestes*", który tak się podobał, że wydrukowano go w miejscowem czasopiśmie „*Kujawischer Bote*" [3]). Podczas pobytu w gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu — jak świadczy relacja ks. biskupa Laubitza z roku 1911 — Kasprowicz „pisał dużo". Z owych to czasów pochodziły „dwa tomiki lirycznych utworów", „spisane własnoręcznie i porządnie" [4]) przez poetę. Atoli dochował się najprawdopodobniej tylko jeden z nich i ten to z rękopisów, znajdujących się w posiadaniu ks. Laubitza, ogłosił dopiero w roku 1912 i to tylko w urywkach, Ludwik Bernacki w I tomie „Dzieł poetyckich" (str. LXI—XCV). Drugi zawieruszył może nawet sam poeta „znany ze swego artystycznego nieporządku" [5]).

Oto i wszystko, co wiedzieliśmy dotychczas o młodzieńczej twórczości Kasprowicza i o jej losach. Lecz minęło zaledwie kilka miesięcy od śmierci poety, a z ukrycia wydostają się pyłem przyprószone karty z autografami jego nieznanych utworów z czasów gimnazjalnych...

W chwili, gdy kreślę te słowa, leży przedemną drogocenna pamiątka, niemy, a jednak jakżeż wymowny świadek wczesnej młodości autora „Hymnów" i jego przyjaciółki z lat szkolnych, panny Walerji Kryszewskiej [6]) — świadek ich wspólnych wzlotów i wiośnianych marzeń... „Pamiętnik", oprawny w ciemnozielony aksamit ze złoceniami i z napisem „Poesie" w pośrodku. „Sztambuch" [7]), przeznaczony wyłącznie tylko na poezje Kasprowicza, jak mi oświadczyła jego właścicielka. Na jego kartach, zapisanych ręką poety i jego przyjaciółki, mieszczą się przeważnie utwory, pisane jeszcze w roku 1881 w Poznaniu i w Opolu [8]).

Na kartach 3 — 7 zapisanych przez poetę, znajdujemy pięć utworów lirycznych, a mianowicie cztery sonety [„Miłość" — karta 3, „Sonet", zaczynający się od słów: „Długom się wahał wypowiedzieć słowo"... karta 4; „Sonet" („Ledwie prząść zacznę jedwabną tkaninę"...) karta 6 i „Sonet" na karcie 7 „Czemuż mnie wzrok twój codziennie tak każe"...)] a wreszcie wiersz zatytułowany „Róże" (karta 5). Wszystkie napisał Kasprowicz w Poznaniu w roku 1881 dla panny Kryszewskiej. Pismo drobne, lecz staranne i czytelne. Jego wielkość i charakter, jak niemniej barwa atramentu—wszystkie bowiem z wyjątkiem sonetu na karcie 7 pisane atramentem fioletowym — naprowadzają na przypuszczenie, że utwory te wpisał poeta do pamiętnika w tym samym czasie.

Czternastozwrotkowy utwór p. t. „Po roku — z motywów ludowych", napisany również w Poznaniu w roku 1881, zapisuje karty 8—10. Następują dalej: wiersz bez tytułu na kartach 14 i 15 („Różyczko mo-

[1]) Por. odpowiedź redakcji „Lecha" w „Bibljografji" utworów („Dzieła poetyckie". Lwów 1912. Towarzystwo Wydawnicze—Tom I. str. IX). — „Poranek" przedrukowano w IV tomie „Dzieł poetyckich" (str. 46) i u Z. Wasilewskiego („Jan Kasprowicz — próba wizerunku".—Warszawa, Gebethner—str. 127).

[2]) Wasilewski: op. cit. str. 125.

[3]) ibidem.

[4]) i [5]) Por. relację ks. Laubitza, ogłoszoną przez Z. Wasilewskiego—op. cit. str. 136 i 137. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Kasprowicz sam zniszczył dużo swoich utworów młodzieńczych. Uprawnia do takiego przypuszczenia opowiadanie panny W. Kryszewskiej (patrz uw. 6), która w Poznaniu bywała nieraz świadkiem, jak poeta po przeczytaniu jej jakiegoś nowego utworu swojego darł rękopis.

[6]) Właścicielką tego pamiętnika jest panna Walerja Kryszewska, zamieszkała obecnie w Toruniu, córka Antoniego K., obywatela z Inowrocławia, a siostra towarzyszów poety z ławy szkolnej Bolesława i Marcina Kryszewskich. Od r. 1879 mieszkała z matką i braćmi w Poznaniu. Kasprowicz bywał codziennym gościem w ich domu w Inowrocławiu, zaś w Poznaniu mieszkał nawet u nich przez czas pewien. Podczas swego pobytu w Opolu odwiedzał ich kilkakrotnie. Od czasów inowrocławskich jeszcze datuje się serdeczny stosunek młodocianego poety do p. W. K., który znalazł odbicie w jego ówczesnych utworach.

[7]) Karty pamiętnika wielk. 140 × 203 mm. z grubego papieru białego o odcieniu kremowym, z brzegami złoconemi. Na karcie pierwszej, u góry w prawym narożniku własnoręczny podpis właścicielki z datą pod spodem („Walerja Kryszewska. Poznań 1881"). Data niezbyt czytelna wskutek poprawiania pisma. Karta druga niezapisana. Karty 11 — 14 wycięte, karty od 25 do końca niezapisane.

[8]) Szczegóły biograficzne oraz wiadomości, tyczące wierszy, które ogłaszamy, pochodzą z ustnej relacji panny Kryszewskiej.

ja—różyczko“... Poznań 1881) i „Rezygnacja“—utwór pisany w Opolu w tymże samym roku. Wreszcie ostatnie miejsce wśród utworów z doby młodzieńczej, które pomieszczono w pamiętniku, przypadło wierszowi, zaczynającemu się od słów: „O złote słońce, ty dziś na błękitnem przyświecasz niebie“... (karty 18—20). Powstał ten wiersz — jak utrzymuje p. Kryszewska — w roku 1881 w Poznaniu przed wyjazdem Kasprowicza do Opola [9]). Te cztery utwory przepisała w różnym czasie — jak świadczy charakter pisma — p. Kryszewska z autografów poety, które posiadał jej brat Bolesław i w ten sposób uratowała je od zagłady. I te autografy bowiem, podobnie jak tyle innych z lat młodości Kasprowicza, najprawdopodobniej zaginęły, skoro nie znajdują się w posiadaniu rodziny pp. Kryszewskich.

Być może, że któryś z pośród tych utworów, a może nawet i niejeden z nich należał do drugiego (zaginionego) zbiorku poezyj, o jakich wspominał w swoim czasie ks. Laubitz (p. wyżej). Tak czy owak sprawę przyszłość rozstrzygnie, wiersze, które ogłaszamy poniżej, stanowić będą zapewne dość ważny materjał do poznania dróg, po których dążył młodociany poeta, zanim jego genjusz rozwinął skrzydła do górnego lotu.

Na czterech ostatnich z pośród zapisanych kart pamiętnika znajdujemy znowu autografy Kasprowicza. Są to cztery znane nam już utwory z roku 1888, ogłaszane w różnych czasach, a mianowicie wiersz zaczynający się od słów: „O serce biedne! o zdeptane serce!...“ [10]), „Mater dolorosa“ [11]), oraz dwa wiersze, wpisane bez tytułu, a rozpoczynające się od słów: „Choć mną ty miotasz po spienionej fali“... [12]) i „O zbliż się śmierci“... [13]). Dwa pierwsze z nich podpisał poeta pełnem imieniem i nazwiskiem, pod trzecim i czwartym umieścił początkowe litery (J. K.). Pismo w nich i podpisy zupełnie takie same, jak w okresie pełnego rozwoju twórczości Kasprowicza. Panna Kryszewska twierdzi z całą stanowczością, że utwory te napisał poeta w jednym dniu podczas pobytu w Poznaniu po wypuszczeniu go z wrocławskiego więzienia (r. 1888). Zdaje się jednak, że w opowiadaniu p. K. jest w tym wypadku pewna nieścisłość i że utożsamia ona czas wpisania powyższych wierszy do jej pamiętnika z czasem, w którym dokonywał się proces ich tworzenia [14]).

Wprawdzie te cztery utwory ze względu na czas ich powstania nie należą już do okresu młodzieńczego w twórczości Kasprowicza i już dla tego samego nie powinnyby znaleźć się w zbiorze „poezyj młodzieńczych“, do tego jeszcze poezyj „nieznanych“. Lecz mimo to uważamy za wskazane ogłosić je także już choćby z tej przyczyny, że ich tekst rękopiśmienny wykazuje szereg odchyleń i odmian w stosunku do tekstów drukowanych dotychczas. Zaznaczamy wreszcie, że w tekście wszystkich utworów zachowano wiernie pisownię i interpunkcję autografów poety i jego przyjaciółki.

ADAM MÜNNICH

Toruń, w styczniu 1927.

[9]) Ogłosił go poeta w pierwszym zbiorku swoich utworów („Poezje“ — Lwów 1889 — Biblioteka Polska — str. 13 i nast.) w cyklu „Melodje wiosenne“ III. Tekst pierwszych trzech oktaw w pamiętniku p. W. K. jest niemal identyczny z tekstem drukowanym (z wyjątkiem w 6 strofie pierwszej, gdzie zamiast „jedwabną“ mamy w rkp. „przejasną“). Znaczniejsze odmiany widzimy w strofach 4—6.

[10]) Wiersz ten znajdujemy w zbiorze pod tyt.: „Anima lachrymans“ (Lwów 1894) na str. 10 i w „Dziełach poetyckich“ (tom IV str. 103) p. t. „Stłum tę chęć życia“... L. Bernacki podaje w bibljografji („Dzieła“ I str. XLV), jako datę napisania go 23. VIII. 1888.

[11]) Drukowany pod tym tytułem na str. 21, „Anima lachrymans“ i w „Dziełach“ IV str. 110. W bibljografji (por. uw. 9) L. B. podaje datę napisania 29. VIII. 1888.

[12]) Ogłoszony p. t.: „Bądź pozdrowiona“ w „Anima lachrymans“ str. 3, w „Wyborze poezyj“ (Lwów 1902) str. 25 i 6 i w „Dziełach“ (tom IV str. 97). Bernacki podaje (p. wyżej) datę napisania: 28. VIII. 1888.

[13]) Drukowany po raz pierwszy dnia 18 (30) września 1888 w Warszawie (patrz „Przegląd Tygodniowy“ № 40, str. 498: „Z bolesnych dni“). Data napisania (według L. B.) 3. IX. 1888 (p. „Dzieła“ 1. str. XII).

[14]) Jakkolwiek relacje p. W. K. nie budzą poza tym jednym wypadkiem żadnych wątpliwości, to jednak na ich podstawie nie mogłem stwierdzić, czy autografy Kasprowicza, znajdujące się w jej posiadaniu, są pierwopisami, czy też nie. Pismo samo bardzo starannne i czytelne oraz brak poprawek wskazywałyby raczej na to, że są to odpisy, dokonane przez poetę.

Nieznane poezje Kasprowicza:

MIŁOŚĆ

Co nam umnictwo, co nam zbladłe karty,
Opiewające znikłe pokolenia,
Jeśli z ich głosek tęschnotą duch party
Nie umie czerpać świeżego natchnienia.

My dziś strażnicy — stoimy u warty
Nadziemskich myśli jasnego strumienia.
W nas bowiem boski pierwiastek nie starty;
Co nam to wszystko bez twego promienia,

Słodka miłości!... O roskoszny kwiecie,
Kiedy nam piersi twój wieniec oplecie,
Woń jego nową wnet siłę rozbudzi,

Prochy nieczyste ze serca wnet zmiecie
I zapał wieszczy już się nie wystudzi,
Lecz z dawnej pleśni wleje życie w ludzi!...

SONET

Długom się wahał wypowiedzieć słowo,
Które z nas czyni uczestników wiosny,
Albowiem wspomnień mych odgłos żałosny
Chciał mi to szczęście przytłumić na nowo.

Dzisiaj rozdzieram tę kartę już płową,
Gdzie był skreślony bieg życia miłosny,
Co nie posiadał godziny radosnej,
Jeno mi czerniał posępną osnową.

Dzisiaj rozdzieram tę kartę, a w niebie,
Którem tak wyśnił i w kwiaty uwieńczył[1])
Patrzę och! patrzę z roskoszą na Ciebie:

Bodajbym wiecznie tak marzył przosłodko,
Bodajby duch twój mi wiecznie się wdzięczył
I szczęścia różę ustalił mi wiotką..,

RÓŻE [2])

Ach! gdy ranko — lube ranko
Opromieniać pocznie wschód
Blaskiem jasnych zórz,

Wiesz urocza ma Kochanko,
Jak nad brzegiem srebrnych wód
Płoną lice róż!

Wiesz, jak wdzięczą się niebiosom,
Śród zielonych szerząc pól
Tę dziewiczą woń,

Jak się myją ranną rosą,
Kiedy nocy zbiegł im król,
Jak wzdychają doń.

[1]) Pierwotnie użył poeta wyrazu: „przystrojił“, który później ze względu na rym przekreślił i zastąpił przez „uwieńczył“

[2]) Utwór ten napisał poeta po przechadzce, jaką odbył. z panną W. K. do t. zw. „Szeląga“ w Poznaniu—(relacja panny K.)

Czemuż luba! w mojem życiu
Wiosennego braknie tchu,
Jaki ma ten kwiat,

Czemuż w młodych dni rozwiciu
Roskosznego zdrój mi snu
Kala troski jad?

Och! ty dla mnie jesteś różą,
Ale strząsasz krople łez,
Które płyną mi,

Mówisz: „twe się myśli durzą
Bo dalekić jeszcze kres
Nieszczęśliwych dni!“...

SONET

Ledwie prząść zacznę jedwabną tkaninę,
By w niej złotego uwięzić motylka,
Już jakaś ostra przecina ją szpilka
I tak mi niszczy roskoszy godzinę.

Ledwie że skrzydła do lotu rozwinę,
By w ziemi kwietnej uzbierać róż kilka,
Już z oczu znika słoneczna mi chwilka
I znowu patrzę na pustą krajinę...

Lepiej mi było w lat moich zaraniu,
Gdym jeszcze nie znał, co walka, co życie,
Bez trosk spoczywać na wonnem posłaniu.

Lecz i dziś luba! te smutne wyrazy,
Co na przeznaczeń czernieją mi płycie,
Mogłaby zetrzeć twa miłość bez skazy!...

SONET

Czemuż mnie wzrok twój codziennie tak karze,
Gdy innych nęci słodkiemi uśmiechy,
Chociaż ja lilij przeczyste[3]) kielichy
Składam o luba! codziennie ci w darze?

Czyż zanim jeszcze o szczęściu zamarzę,
Pragniesz, by smutek ponury i cichy
Och! w całunowe przystroił mnie szychy,
Każąc mi kończyć, jak kończą łazarze?...

Kochanko moja! nim wiosna przeminie,
Co świat czaruje swojemi dziś wdzięki,
Niechże i dla mnie słoneczko zaświeci,

Niech na skinienie twych oczu przypłynie
Anioł roskoszy i drgnieniem swej ręki
W duszy mej nowe zapały rozniecil...

PO ROKU

(z motywów ludowych)

U jeziora, u tej wody,
W której gwiazdki patrzą na się,
Stanął sobie Jaśko młody
I rękoma objął Kasię.

Jasna tarcza księżycowa
Gdzieś na niebie srebrem błyska,
On jej szepce słodkie słowa
I do piersi ją przyciska.

— Kasiu moja! złoto moje!
Jak ten miesiąc dzisiaj świeci,
Jak te czyste płyną zdroje
Oplecione wiankiem kwieci;

Jak te gwiazdki pośród fali
Niezmąconej błyszczą na dnie,
Moja miłość, co się pali,
Nie przygaśnie, nie upadnie!"...

— „Jaśko drogi, Jaśko miły,
Jak słoneczko codzień wschodzi,
Jak prastare te mogiły
Wyglądają wiosną młodziej;

Jako z góry, ze spadzistej
W to jezioro rzeka sączy,
Moja miłość kwiat wieczysty.
Nawet grób nas nie rozłączy!!!...

— „Kasiu moja — złoto moje!
Rzuć na wodę świeże kwiecie.
Czy będziemy tu oboje
Po téj wiośnie, po têm lecie"?

Nazbierała macierzanek
I piosenkę zanuciła
I uplotła drobny wianek
I na wodę go rzuciła.

Jaśko śledził go oczyma,
Łzy upadły mu z powieki,
Jeszcze czulej Kasię trzyma
„Więc na wieki — więc na wieki"!...

Miesiąc mijał za miesiącem,
Przyszła wiosna, przyszło lato,
Biegnie Kasia z sercem drżącem
Nad jezioro poza chatą.

Na błękiném, wielkiém niebie
Księżyc błyszczy srebrném okiem
I dwie gwiazdki koło siebie
Znowu patrzą jak przed rokiem.

Och! i czarne tuż mogiły,
Lecz w ich gronie świeża jedna,
Kasi liczko łza zrosiła,
Zapłakała z żalu biedna.

I urwała macierzanek
Jak przed rokiem o tej dobie,
I uplotła drobny wianek
I złożyła go na grobie.

Ramionami nań zawisła,
Łzy przestały ciec z powieki,
Jeszcze czulej grobik ścisła.
Może ścisła go na wieki?...

RÓŻYCZKO MOJA — RÓŻYCZKO...[4])

Różyczko moja — różyczko —
Co się pojiłaś śród wiosny
Perłami ros —

Takie bogate masz liczko
W rumieniec czysty, miłosny
Tak miękki włos —

Różyczko moja — różyczko!
Tu w strumień jasny, niebieski
Zawracasz oczy swe skrycie
I ronisz łzę —

On patrzaj wszystkie te łezki
W młodzieńczym chowa błękicie
Bo kocha Cię

Ten strumień jasny, niebieski...
Nim jesień szczęście wypłoszy
I czarną chmurą zacieni
Srebrzystą toń

Kropelki słodkiej rozkoszy,
Porannych pełne promieni
Z ust Twoich roń,

Nim jesień szczęście wypłoszy.
Różyczko moja, różyczko —
Gdybyć ten strumień na wieki
Mógł z Tobą żyć —

Patrzeć w rumiane Ci liczko
I bez lodowej powieki
Gorąco śnić

O Tobie moja różyczko!

---

[3]) przez pomyłkę napisał poeta: przeczyszte.

[4]) Wiersz ten powstał po przechadzce Kasprowicza z panną W. K. do t. zw. „Glacis" w Poznaniu w roku 1881 (relacja panny W. K.). W starym zeszycie szkolnym poety z gimnazjum M. Magdaleny znajduje się pierwsza zwrotka tego wiersza w następującej odmianie:

Różyczko moja, różyczyko
Cudownie wyrosłaś śród wiosny,
Karmiona perłą ros;

Takie bogate masz liczko
W rumieniec czysty, miłosny
I taki miękki włos!

LIBERUM VETO

Słowniczek naszych gazet. — Dziwne pretensje. — Państwo narodowościowe.—Logiczne wnioski.—Patrjotyzm anglików i francuzów. — Najbogatszy język. — Konkurs Szopenowski. — Zadziwiająca bezstronność. — Bezinteresowność lekarzy i Kasy Chorych.

RUN, putsch, incydent, exposé, demarche, dementi, dezawuować, konwentykiel, dekować, kryzys, konflikt, deficyt, eksport, import, impoderabilia, rewelacje, szmugiel, suggerować, inwigilować, ingerować, gaża, szarża, defetyzm, globalny, gros, sfinalizować, interwiew, impregnować, impresja i t. d. Co to jest?—spytacie czytelnicy. Słowniczek naszej prasy, wypisany z paru gazet jednego dnia. To nie jest tylko kupa chwilowo nagromadzonych śmieci, które miotła łatwo usunie i świetlica będzie czysta. To jest coś więcej. Jeżeli w pierwszorzędnej dziedzinie kultury narodu, jaką jest jego mowa, można bez obrazy patrjotyzmu przyrządzać taki makaroniczny bigos, dlaczego nie można tej samej zasady przenieść na inne pola życia? Twórcy i zwolennicy tego językowego Babelu bywają jednocześnie zapalonymi obrońcami swojskości, oskarżycielami sprawców wynaturzania, prześladowania i tępienia mowy polskiej przez szkoły i urzędy zaborców, przeciwnikami esperanta i pogromcami żydów, chcących przekształcić Polskę na państwo „narodowościowe". Dlaczego? Czy oni sami tego nie czynią w jej zasadniczej właściwości? Jeżeli nic nie szkodzi pisać i drukować: „Oficjalne dementi suggeruje prasie, że demarche ambasadora osiągnął cel, że incydent nie pociągnął za sobą konsekwencyj i konflikt został zlikwidowany" — jeżeli to nam nie szkodzi, dlaczego wydobywamy z biur prywatnych i piętnujemy listy kupieckie pisane po niemiecku, dlaczego wyśmiewamy francuszczyznę arystokratycznych salonów a nawet żargon żydów? Kto się posługuje gwarą splecioną z rozmaitych języków, ten nie powinien żądać żadnych przywilejów dla rodzimego, nie sprzeciwiać się zamianie państwa narodowego na narodowościowe a obywatelstwa kraju na obywatelstwo świata. Nie powinien ani dziwić się, ani przeciwdziałać dążeniom wszelkich „mniejszości" do zupełnego uprawnienia swoich języków, szkół, urzędów, stowarzyszeń, wogóle całego ustroju społecznego. Bo może usłyszyć zupełnie logiczne i słuszne odparcie: Jeżeli wy tak dalece lekceważycie swoją mowę, że używacie obcych wyrazów nawet tam, gdzie posiadacie dobre własne, to dlaczego żądacie, ażebyśmy my ją szanowali i wyrzekali się naszej? Wam się nie podoba „wypadek", „spór", „zaprzeczenie", wolicie „incydent", „konflikt", „dementi", a nam się podoba „*fall*", „*streit*", „*abrede*". Dlaczego te mają być gorsze od tamtych? Ponieważ używanie tego lub innego języka ma w społeczeństwie i państwie znaczenie nie tylko obyczajowe i literackie, ale także polityczne, przeto nasza niechęć do polskiej mowy jest objawem bardzo smutnym. Anglik uważa wszelki wytwór angielski za doskonalszy od najdoskonalszych obcych i nakłada na niego wyższą cenę. Brzoskwinia angielska jest gorsza od francuskiej, ale w W. Brytanji jest droższa. W styczniowym numerze znakomicie redagowanego miesięcznika „P r z e g l ą d w s p ó ł c z e s n y" zamieszczono ciekawy artykuł, wykazujący ujemne sądy krytyki francuskiej o powieści Sienkiewicza „Q u o v a d i s," którą ona uznała za niegodną stanąć obok podobnych utworów francuskich. Kto miał sposobność tego porównania bez uprzedzeń i ze znajomością rzeczy, przekonał się łatwo, że ta opinja jest stronna i że powieść naszego autora przerasta swą wartością artystyczną wszystkie inne tej treści. Ale francuzi nie chcą dopuścić, ażeby ktokolwiek przewyższał ich twórczość w tym rodzaju. Otóż jeżeli wyłączymy Szopena, którego cały świat postawił na szczycie muzyki fortepianowej, kogo i co my sami stawiamy na jakimkolwiek niedosięgalnym dla innych szczycie? Albo nawet kogo i co umieszczamy na równym poziomie z zagranicą? Do odpowiedzi na pierwszą część tego pytania wybralibyśmy może tylko barszcz, bigos, pączki i kilimy a do drugiej nie wiem. A czy wierzycie czytelnicy, że według moich obliczeń (w atlasie, który mi zatraciła jakaś komisja dostarczająca wydawnictw informacyjnych naszemu Komitetowi Narodowemu w Paryżu) słownik polski zawiera największą ilość wyrazów ze wszystkich języków europejskich? I my posiadając takie bogactwo mowy, wciskamy do niej i n c y d e n t y, d e m a r c h e, k o n f l i k t y, k o n w e n t y k l e i tym podobne wtręty! Nie przeczę, że najwygodniej używać wyrazów z rozmaitych języków. Ale słowo publiczne powinno być strojem, a nikt nie ukazuje się na miejscach publicznych, a nawet na zebraniach prywatnych w szlafroku, chociaż on jest ubraniem najwygodniejszem. — Urządzony w Warszawie międzynarodowy konkurs młodych artystów grających utwory Szopena zamknięty został wyrokiem, przyznającym pierwszą nagrodę rosjaninowi. Nie słyszałem tych popisów i prawdopodobnie nie umiałbym ich krytycznie ocenić. Ale ten wyrok wywołał we mnie wielkie zdziwienie i zadowolenie. Najwyższą wartość gry przyznano spółzawodnikowi, należącemu do narodu, którego dawne okrucieństwa i zbrodnie tkwią dotąd niezatartemi wspomnieniami w naszej pamięci, którego obecne postępowanie oburza nie tylko nasze uczucia patrjotyczne, ale również ludzkie. I temu moskalowi, który stanął do turnieju w Warszawie, ucharakteryzowany po bolszewicku, przyznaliśmy pierwszą nagrodę, pomimo że swemi zdolnościami nie o wiele przerastał polaków, francuzów i belgów. Proszę wskazać w Europie drugi sąd konkursowy, któryby się zdobył na taką bezstronność, na takie opanowanie swych uczuć politycznych, na takie poświęcenie ich sprawiedliwości artystycznej. Czy podobny wyrok zapadłby w Paryżu dla niemca, w Londynie dla jakiegokolwiek cudzoziemca, w Moskwie dla polaka? Szkoda, że jego wspaniałomyślność oszpeciły zarzuty, pretensje i kłótnie niezadowolonych. Ale osłabia je okoliczność, że wszystkie sądy konkursowe wszędzie wywołują tę wrzawę, u nas może tylko głośniejszą, niż gdziekolwiek. Synowie muz są bardzo wrażliwi i drażliwi.

Za to niewrażliwi i niedrażliwi aż do bezwstydu są członkowie Zarządu Kasy Chorych. Ile już zgroza powszechna napluła w ich posilne żłoby! A oni nic. Stoją przy nich twardo i wesoło, jak gdyby im smaczny obrok skrapiała rosa niebieska. Około tego przybytku żandarmerji społecznej, ciągnącej opornych gwałtem pod swą despotyczną władzę, zawrzała znowu walka, jego obrońcy między innymi okrzykami rzucili w nią hasło, że Kasa Chorych zapewnia ludności niezamożnej poradę tanio. Jak wszystko w niej, tak i to jest kłamstwem. Nie ma w społeczeństwie naszem zawodu równie bezinteresownego i usłużnego, jak lekarze. Zaznaczył to słusznie minister Raczkiewicz w swej odpowiedzi na interpelację, twierdząc, że oni zawsze chętnie i ofiarnie śpieszyli z pomocą chorym niezamożnym. Idź biedaku z prośbą do szewca, ażeby ci darmo przyszył łatę do dziurawego buta; idź do ślusarza, ażeby ci darmo otworzył zamek drzwi, od którego klucz zgubiłeś, idź do właściciela koni, ażeby ci darmo przewiózł rzeczy na nowe mieszkanie; idź do piekarza, ażeby ci podarował bułkę chleba—zobaczysz, co ci odpowiedzą. Tymczasem gdy pójdziesz do lekarza albo go wezwiesz,

nie tylko ci bezinteresownie poradzi, ale nieraz lekarstwo kupi. Tak postępowali nawet nasi najznakomitsi doktorzy, tak postępują dotąd prawie wszyscy. I po co tu zanieczyszczać powietrze wyziewami kłamstwa, że tanią pomoc daje biednym wypasiona zdzierstwem dobrodziejka, Kasa Chorych, która ich łupi uciążliwym podatkiem, która ich trzyma w ambulatorjach stłoczonemi gromadami i udziela porady jak ów anegdotyczny Eskulap, który badał puls chorych przez dotknięcie ręki kijem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZAGADNIENIE RZĄDU

ROMAN Dmowski, pragnąc wprowadzić pewien ład do umysłów, zamroczonych skomplikowanemi stosunkami, postanowił w szeregu broszur, poświęconych szczególnym zagadnieniom, dać ogółowi polskiemu zasadnicze wskazówki. Obóz Wielkiej Polski od tej podstawowej czynności rozpoczyna pracę organizacyjną. Sam twórca Obozu dał, jako wstęp do dalszych rozważań, traktat p.t. „Zagadnienie rządu". Postawił rzecz głębiej, niżby z tytułu wnosić można.

Autor wychodzi z założenia: Zasada praw jednostki według nauki Rewolucji Francuskiej—zbankrutowała. Mianowicie płynąca z tej zasady „organizacja polityki klasowej okazała się zorganizowanem samobójstwem narodów europejskich". „Oparłszy na tej zasadzie swój byt polityczny, narody europejskie tracą szybko swą spójność i siłę wewnętrzną, coraz mniej okazują się zdolnemi do wytworzenia rządu, umiejącego pokierować państwem, sprostać jego zadaniom politycznym i gospodarczym".

Zanarchizowanem zbiorowiskiem nie można inaczej kierować, jak tylko przez podbój—siłą z zewnątrz, albo przy pomocy tajnych spiskowych organizacyj. Obecnie rządzą w Europie loże wolnomularskie. Szefowie rządów są tylko wykonawcami poleceń, otrzymywanych od władzy nieznanej i—nieodpowiedzialnej. To też w chwilach krytycznych, państwo nigdy nie może wiedzieć, co jutro z niem się stanie. Gdyby nawet związkiem międzynarodowym nie kierował spisek, nie mający na oku interesów państwa, to do kierownictwa tajnego nie można mieć zaufania, jako do mądrości politycznej, bo ta wyrabia się w doświadczeniu kontrolowanem. A przytem loże, im bardziej się rozrastają, tem większy mają kłopot z sobą. W tarciach wewnętrznych zdane bywają na ruchy przypadkowe. Ponieważ same od stulecia pracowały nad zdezorganizowaniem życia narodowego, więc i zadanie rządów jest teraz dla lóż coraz trudniejsze.

Stało się teraz po wojnie jasnem, że w Europie ostoją się tylko państwa, które zagadnienie polityki gospodarczej i rządu poddadzą zasadniczej rewizji, jak to uczyniły Włochy. W każdym jednak kraju zagadnienie to rozwiązywać trzeba w swoisty sposób. Zdaniem Dmowskiego — nie zbudujemy należycie naszej machiny państwowej, ani nie zorganizujemy potęgi zewnętrznej państwa, dopóki nie rozwiążemy zagadnienia naszej wytwórczości, to znaczy wewnętrznej równowagi politycznej. Równa się to rozwiązaniu zagadnienia rządu.

Polska może tego dokonać tylko przez wysunięcie na czoło życia politycznego tych czynników, które łączą ludzi w jedną całość narodową i wyznaniową. A więc pierwszem zadaniem jest zorganizować naród duchowo i fizycznie tak, ażeby wpływ jego na państwo i jego politykę był jaknajpełniejszy.

„Tylko zorganizowany naród może wysunąć na czoło życia kraju te wartości, które stanowią podstawę bytu społecznego i postępu cywilizacji. Tylko zorganizowany naród może znaleść w sobie siły do rozwiązywania wielkich zagadnień gospodarczych i politycznych doby dzisiejszej i zagadnień naszego w szczególności bytu państwowego. Tylko zorganizowany naród może dziś wydać władzę w państwie, poczuwającą się do surowej odpowiedzialności za jego losy".

Oto teza programu Dmowskiego i Obozu Wielkiej Polski. Broszura, z której ją czerpiemy, winna się znaleść w ręku każdego Polaka. Sięga ona głęboko w nasze życie polskie i traktuje o jedynie ważnej sprawie—być czy nie być. Dmowski wykłada sprawę jasno, bo ją dobrze widzi, a że dobrze widzi i rozumie, jest optymistą. A to ciepło poczucia, że rozwiązuje dobrą sprawę, czyni z wykładu komendę, zagrzewającą do czynu.

PRZEPOWIEDNIE DELFICKIE

OPINJA polska, ciekawa zdarzeń, nie czeka sprawozdań dziennikarskich o faktach dokonanych, lecz zagląda do pism, które te zdarzenia przepowiadają. Król Edyp mógł być bardzo władny, ale władniejszy był los, którego wyroki znane były wprzód w Delfach.

Pan Uziębło, zdawałaby się pozornie — sprawozdawca teatralny „Głosu Prawdy", występuje w tem pismie (z 21 lutego) w charakterze Wernyhory. Zaczyna dwuznacznie. Kiedy mówi, że „uśpić czujność narodu można tylko na chwilę, bo żaden naród swych aspiracyj nie sprzeda", to mogłoby się zdawać, że ma na myśli nasz naród polski. Jednak (rzecz pozornie dziwna w organie polskim) ma na myśli niepodległość innego narodu, mianowicie Ukrainy.

> „Przymierze nasze z ukraińcami, przymierze uczciwe, może powstać zatem tylko na jednej podstawie — uznania dążeń narodu ukraińskiego do zupełnej, niczem nieskrępowanej niepodległości. I ani na chwilę nie wahamy się powiedzieć, że to dążenie ukraińców uznajemy, że gotowi jesteśmy wspierać ich pracę w tym kierunku i więcej — że tylko tych kontrahentów z pośród ukraińców uznamy za uczciwych, którzy na czele swego programu ten postulat stawiają.
>
> Braterstwo broni z roku 1920-go, którego owoce zmarnował brak wiary we własne siły zarówno nad Wisłą, jak nad Dnieprem — żyje i tkwi głęboko w tradycji narodowej ukraińskiej. I tę tradycję pielęgnować musimy. Postać Petlury to nie przypadek — to wyraz najszczerszy rzeczywistości, żywej wczoraj, dziś nieco przybladłej, lecz od zmartwychwstania której rozpocznie się jutro Europy Wschodniej."

Nie chodzi więc Wernyhorze o kwestję „równouprawnienia mniejszości ukraińskiej w Polsce". Polska będzie szukać rozwiązania radykalniejszego i szerszego w całej rozciągłości, „od granic Polski i Rumunji po góry Kaukazu".

Myśmy to już „brali" (tak się mówi w szkołach galicyjskich) w r. 1920. Narzuca się tylko ciekawości naszej pytanie, kto to jest owe „my" w czasownikach „nie wahamy się", „uznajemy"? Przecież nie rząd, który świeżo wysłał w misji pokojowej p. Patka; przecież nie naród, który już raz płacił za te marzenia kaukaskie.

A więc ktoś trzeci. Któż to taki?

Cóż tedy będzie z nami? Zapytujemy drugiego organu, który właśnie w tej chwili się pojawił. „Zycie wolne" jest wydawnictwem Polskiego Zwiazku Myśli Wolnej, który powstał na gruzach Stow. Wolnomyś-

licieli Polskich po usunięciu komunistów. Redaktorem jest p. Romuald Minkiewicz, jeden z przewódców tej grupy. Za nim stoją Baudouin de Courtenay, Dawid Jabłoński, Józef Landau.

Ma to swoje znaczenie, że pierwszy zeszyt tego pisma ukazał się właśnie teraz w czasie rozognionej walki o szkołę katolicką, kiedy prowadzony jest atak ze strony obozu radykalnego na czynniki, które wydały rozporządzenie o przestrzeganiu nauki religji w szkołach powszechnych. Red. Minkiewicz zwraca się z apelem do prezesa ministrów, aby sobie przypomniał zasadę „rzucania ludzi na głębokie wody".

Rzecz to „nie mniej trudna — powiada, a co najmniej równie ważna — to wyprowadzenie Polski na Głębokie Wody". Czy Polska ma odpowiedniego sternika? „Boć Wy — pisze tak p. M. — Jej Kapitanem. Lecz sternik gdzie?"

> „Wlepienie oczu w Kapitana z samozatraceniem woli — zamałe to kwalifikacje na Nawy sterników. Boć jakoż, gdy Kapitan zaśnie? jak, gdy myśl ma czemś zajętą? jak skoro zasłabnie? jak, gdy nieobecny? Czy takim sternikiem może być p. Bartel? Kapitan zajęty całkiem statku uzbrojeniem. Przeto utyka raz wraz Nawa na rafach i mieliznach. Powiał silniejszy z Rzymu wiatr i sternik stracił głowę już. I miast pod wiatr zawrócić śmiało w myśl elementów żeglowania, skrzyknął załogę całą na wierzch i każąc wszystkim klepać pacierz zbiorowo i potrzykroć, nawraca statek o pół koła, o 180 stopni i sadzi ślepo na mieliznę".

Dalej wolnomyślni wytykają, że na niewłaściwem miejscu są porucznik Niezabytowski i porucznik Kwiatkowski. Wyrażają wiarę w dobre chęci Składkowskiego, Młodzianowskiego („sprawny w przeprowadzaniu linji planu"), Moraczewskiego.

> „Lecz gdzie wielkie charaktery? Gdzie wielkie indywidualności? Czyż Polskim Wkładem być ma podanie się w niewolę Rzymu w konkordacie i poza konkordatem, jak sternik Wasz uczynił? Tego Rzymu, co koronę polską ze Szczodrego śmiałej głowy przez zdrajcę Stanisława oddał w ręce wrogich Czechów, a zdrajcę zrobił świętym?"

Kwesja ta musi mieć aktualnie praktyczne znaczenie, skoro organ polityczny, pełniący odpowiedzialną rolę, urządził jednocześnie na całą stronę ankietę (nr. 52), z napisami: „Polska - republiką rzymsko-katolicką, Nauczycielstwo burzy się przeciw samowładztwu kleru w szkolnictwie. Ludność ma dość pasienia księżych brzuszków". A dalej: „Polska może być organizacją świecką albo duchowną. Trzeba wybierać! Polsko, twa zguba w klerze rozpolitykowanym! Konfiskować dobra duchowne! Zalegalizować gminę bezwyznaniową"! i t. p.

Oczywiście uwaga powszechna kieruje się w stronę wicepremjera Bartla, który właśnie jest chory, a przeciw któremu ataki są skierowane. Źródło tutaj jest ważne, z niego bowiem pochodzi członek rządu p. Miedziński (b. redaktor „Głosu Prawdy"), na którego obóz radykalny bardzo liczy. Ataki te idą w kierunku pogłębiania przewrotu, o które dopominano się z tej strony od maju r. ub.

Z drugiej strony opinja publiczna pociągana jest reklamą, którą koło siebie czynią elementy konserwatywne, popierające stanowisko premjera w nadziei zrównoważenia prądu radykalnego. Przepowiednie z tej strony wychodzą za pomocą organu nowego p. t. „Głos Zachowawczy". Niestety nie widać, aby te przepowiednie oparte były na czemś poza jałowem słowem. Myśl czepia się bez planu takich pociech, jak ta w enuncjacji naczelnej, że „chaen (co za gwara!) stanie się wkrótce jednym z największych członów polskiego obozu konserwatywnego". Nie było chyba w Polsce ugrupowania, któreby tak mało wagi przywiązywało do potrzeby organizowania myśli swojej. Dlatego przepowiednie z tej strony są majaczeniami w jakichś nieartykułowanych głosach, z których niepodobna wywnioskować przyszłości.

ŚWIADOMOŚĆ RODU I ZIEMI

SIŁY czynne psychiki ludzkiej, tkwiące w nieznanych bliżej uwarunkowaniach podświadomości, swój wyraz świadomy znajdują w dwóch rodzajach doznań. Po pierwsze: w poczuciach, skłonnościach i dyspozycjach uczuciowych, powtóre: — w mniej lub więcej jasno sformułowanych ideach. Temi to dwiema drogami zdąża energja psychiczna nazewnątrz, by przybrać formę określonego zachowania się w określonej sytuacji. Jaki jest wzajemny stosunek idej i poczuć? Mogą li spółistnieć albo też wyłączają się jak np. afekt i refleksja? Otóż nietrudno spostrzec, że w wielu wypadkach zachodzi między niemi ze względu na treść pokrewieństwo genezy, jakkolwiek forma ich, jako aktów psychicznych, jest naogół różna. Gdy więc idea bywa jakby krystalizacją mgławicy poczuć, ujęciem w słowa rozlewności stanów, uzasadnieniem impulsów hamujących lub pobudzających — bywa ona równocześnie wyrazem czynnego stosunku do wszelkiej decyzji — w przeciwieństwie do biernej uległości stanom afektywnym, nieokreślonym sympatjom, wstrętom, zaciekawieniom. Poczucie niejako kieruje świadomością, ideą — kieruje świadomość.

Nic dziwnego, że w miarę wzrostu zapasu pojęć, systematyzacji form poznania, rozszerzenia zakresu wszelkiej teorji, idea zyskuje przewagę jako męski sposób tłumaczenia i opanowania rzeczywistości.

Począwszy od intelektualizmu greckiego, sylogizm, filozofja, program przywódcy, doktryna społeczna czy etyczna organizują się a przedewszystkiem utrwalają w formie ideologji. Wychowawcy i organizatorzy usiłują wykazać wartość i aktywność użytecznych idej; uważając związek ich ze sferą czynu za podstawowy, kładą nacisk na odpowiednie uświadomienie, zdolność prawidłowego rozumowania.

Natomiast poczuciom i dyspozycjom wyznaczono rolę znacznie pośledniejszą i nawet upośledzono je na korzyść prymatu intelektu. Owo „zamącone poznanie" uczuciowe miało niekiedy być poprostu szkodliwem zanieczyszczeniem świadomości.

Dopiero znajomość psychologji jęła odwracać ten stosunek; nauczono się z biegiem czasu cenić wszelkie stany erracjonalne jako potężną *vis a tergo*, dającą najjaśniejszym uświadomieniom siłę dotarcia do czynu. Racjonalizm jednak nie złożył broni i oto stary kouflikt „rozumu i uczucia" trwa po dziś dzień w najrozmaitszych ujęciach i na różnych terenach.

Istotnie, mówimy, że rozum roztrzyga o słuszności, że decyduje logicznie poprawny wniosek nie zaś wzruszenie, z drugiej zaś strony, uświadamiamy sobie, że czuciowy żywioł stanowi konstytucyjny pierwiastek psychiki naszej — potrzeba tedy kompromisu jest prostą koniecznościa praktyki życia, jakkolwiek teoretyczna formuła nie została jeszcze wynaleziona.

Kompromis ten nabiera szczególnej doniosłości wtedy, gdy chodzi o nadanie ideom siły bodźców. W tych wypadkach ideę musimy świadomie osadzić w emocjonalnej strukturze, musimy dopasować niejako do niej *ascendens* poczucia.

Jest to warunek mający swą socjologiczną paralelę. Poczucie jest przedewszystkiem i nadewszystko faktem indywidualnym. Życie uczuciowe przeciętnej jednostki jest najosobistszą jej sprawą; niczego tak się

nie ukrywa w sobie a nawet przed sobą jak właśnie wzruszeń. Natomiast idea urabia się przez obcowanie w kontakcie ze środowiskiem, pod presją panujących poglądów, zależnie od poziomu kulturalnego społeczeństwa.

Dlatego też powiedzieć można, że ustosunkowanie idei do poczucia jest w znacznym stopniu odbiciem ustosunkowania społeczeństwa do jednostki, skąd jasne, że i w akcji społecznej, aby wywołała należyty wpływ na jednostkę, trzeba wynaleźć jakiś czynnik indywidualny, oparcie nie o poglądy, lecz o samopoczucie jednostki. Tylko wówczas można liczyć na rzetelną solidarność jednostki ze społeczeństwem, tylko taki osobnik naprawdę „oddycha dla ogółu“, nie uciekając się do tak znanej u nas — symulacji.

Przedwstępne te uwagi były konieczne ze względu na potrzebę wyjaśnienia sposobów, któremi idee narodowej kultury mógłyby urabiać jednostki.

Bo nie sądźmy, że z chwilą proklamowania zasady rodzimości, poczucia rasowej odrębności, idei państwa narodowego, zagadnienie zostało wyjaśnione. Dystans od tak ogólnikowych przedstawień do żywej bezpośredniości, w której się pracuje, odpoczywa i bawi — jest bardzo wielki. Istnienie tego dystansu jest jedną z przyczyn braku konkretnych wyników pozytywnej twórczości. Samo przeciwstawienie obcym naleciałościom, wrogim wpływom jest możliwe, oczywiście, przy pewnem napięciu bardzo ogólnych uczuć patrjotycznych. Jednak są to uczucia wybitnie aktywne głównie w okresach walki. Z twórczością artystyczną lub naukową ideologja patrjotyczna — zwłaszcza po uzyskaniu niepodległości — bezpośredniego związku nie posiada.

Jedno możemy dziś stwierdzić: przez mozolną pracę w kierunku uświadomienia narodowego, poczucia rodzimości i rasowości udało się dokonać oczyszczenia duchowego terenu w znacznej części społeczeństwa.

Jak jednak zróżniczkować ideologję narodową tak, aby stała się osobistym, prywatnym niejako dorobkiem każdego z osobna? Jak, słowem, związać ideę tę z poczuciem rodzimości, o jakiem wspominaliśmy?

Łącznikowe elementy muszą opierać się o losy jednostki, o jej samopoczucie, równocześnie zaś mieć wylot na zbiorowość, słowem muszą wynikać z rozszerzenia samo-poczucia jednostki. Rozszerzenie to znane jest od zarania cywilizacji: jest niem świadomość rodu i świadomość związku z ziemią. Obydwa te, historycznie ukształtowane poczucia, musimy dowiązać do ideologji narodowej.

Przedewszystkiem — z czego się składa poczucie rodu. Bo że jest wytwór złożony—świadczy złożoność warunków, w jakich bywa czynny.

Życie psychiczne jednostki opiera się zawsze o przeszłość. Wżywanie się w teraźniejszość bez wszelkiej retrospekcji stwarza najzupełniejszą obcość sobie. Żyć chwilą — jako zasada — jest szczytem zatracenia indywidualności, w dodatku uniemożliwia ona pogłębienie przeżyć.

Oparcie się o coś przedistniejącego, o pewne tło, o fakty pamięci jest koniecznością poczucia swej jaźni, jak możność skupienia uwagi jest warunkiem poznania. Cóż może być cięższego dla świadomości, niż przekreślenie całej połaci przeszłości, niż zamknięty obszar jakiegoś nieszczęścia, żałoby, przegranej, do której myśl nie może wrócić!

Przeciwnie, im łatwiej, swobodniej pomyka się w dal, wstecz, tem pełniej rozlewa się samopoczucie, tem głębiej się czuje własne życie, choćby ubogie i jednostajne. Stąd ta wielka wartość rzeczy pamiątkowych, stąd ich *pretium affectionis* — rzutu drogiej przeszłości na płaszczyznę dnia bieżącego.

Oczywiście, im liczniejsze są przerzuty oparcia dla uświadomienia rzeczy minionych, tem rozmaitszy i bogatszy jest ich udział w życiu aktualnem. Dom rodzinny, osiadły tryb życia, widzialny dorobek lat pracy— wypełniają potrzebę retrospektywizmu w sposób tak dobrze znany.

W tym kręgu najsilniejszą jest grupa żywego ascendensu — rodzice, dziadowie, ci wszyscy, którzy są ogniwami łańcucha przeszłości. Im starsi, tem silniejsi brzemieniem lat przeżytych wobec teraźniejszości. W obcowaniu z nimi utrwala się życie nie już przedmiotów, ale pragnień i idej, jako peryferja osobistego życia potomka, jako zwycięskie trwanie świadomości nad przemijaniem, jako żywa zamierzchłość ogarniająca swą sędzielizną niby tajemnica — dziedzinę młodego pokolenia. Są oni tedy jedynem w swoim rodzaju ogniwem między przeszłością niepowrotną a teraźniejszością, są w swej żywej dalekości wyrazem najbliższej opieki, która u ogromnej większości narodów cywilizowanych przybierała formę religijną: kult!

Śmierć w historji cywilizacji podwójne ma oblicze. Jest to zerwanie wszelkiej łączności grożącej niebezpieczeństwem magicznem, i jest to nawiązanie łączności z wolą trwania. Dwoistość ta, paradoksalnie sprzeczna, przy metodycznem rozważaniu, jest faktem etnologji i psychologji kultury niezaprzeczonym.

Obrzęd pogrzebowy jest niczem innem jak zaklinaniem zmarłego, by żywym nie szkodził, jest też równocześnie „sakralizacją“, wzmożeniem suggestji życia, wyrażającem się choćby w koncepcji odświętności i gloryfikacji nieboszczyka.

Niepodobna tu zastanowić się bliżej nad rolą kultu przodków (manizmu) i totemistycznych wierzeń z nimi związanych; wystarczy podkreślić, że znajduje w nich swój wyraz potężna świadomość rodu, wiara w moc i trwanie łańcucha, którego jednym końcem są żywe postacie rodziny, drugi — gubi się w podziemnym mroku. Zauważmy, że ten mrok nie jest ostateczny: przezeń czuje się drogę w legendzie, podaniu, dogmacie — na zaświat, na obszary wiecznotrwania, gdzie protoplaści z larw i lemurów wyłonieni nabierają cech górnych bóstw. Te dalsze losy wyjścia cieniów ponad i poza ziemię dla uczuć plemiennych już bezpośrednio znaczenia nie mają. Eschatologja ta z pogranicza mitów należy do innego cyklu idei. Dlatego zatrzymujemy się w podziemiach i śledzimy czysto celuryczne związki praszczurów z bóstwami chtonicznemi.

Jest ich dużo. Mają charakter to nieokreślonych mglistych demonów, to drobnych istot ludzkich, to zwierząt, łatwo i chętnie kryjących się w szczelinach podziemnych, wreszcie ogromnych powiększeń, spotwornień sił plutonicznych, niszczycielskich i przerażających Nad tem Pandemonjum króluje jako tło ostateczne i dno — Pramacierz Ziemia, pierwiastek kosmiczny, znany wszystkim wielkim systemom religijnym.

Folktor polski niewiele zna zróżnicowanych form chtonicznej demonologji, ale za to łączność z ziemią bywa tradycyjnie bardzo silna. Jest to poczucie, lokalnie zabarwione umiłowanie własnego zagona, krajobrazu, wiara w magiczną moc ziemi, kryjącej nasiona życia i kości ojczyców. W postaci ideowej znalazła ona swoj wyraz w obrębie idej patrjotycznych — natomiast nie rozwinęła się ideologja duchowego zespolenie człowieka z jego ziemią, przynajmiej w formie jakichś filozoficznych poglądów, nietylko poetyckich symbolów.

Jest to poniekąd zrozumiałe. Skoro z epoki niepodległości dostaliśmy w spadku w tej grupie tylko uczucia sielskie, romantycy nie mieli głębszej racji nią się zajmować. Jako wygnańcy i pielgrzymi usiłowali budować li na opoce duchowej. Kontakt z ziemią był sprawą drugorzędną. Dziś nią nie jest. Dziś możemy z widokiem najlepszych efektów opracować ideologję łączności z ziemią i rodem, sakralizującym tę ziemię.

Będzie to nietylko zdobywaniem potężnych dźwigni uświadomienia narodowego, ale tematem dla zapełnienia dużych luk w filozofji kultury.

LESZEK KONOPACKI

NAUKA I LITERATURA

PIĘKNO PROSTEJ POWIEŚCI

WANDA Miłaszewska nosi krótkie włosy i krótkie suknie, z pasją gra w ping-ponga, jeździ konno, strzela, a chociaż nie tańczy charlestona — na pierwszy rzut oka nie różni się niczem od pierwszej lepszej światowej damy. Patrząc na jej wytwornie modną sylwetkę na tle salonu, albo na spacerze, niktby się jako żywo nie domyślił, że ta rasowa dystyngowana *sportlady* zajmuje się poważnie literaturą. A jednak tak jest. Wanda Miłaszewska należy już, pomimo swojej młodości, do najpoczytniejszych powieściopisarek. Pisanie zaś swoje traktuje bynajmniej nie po dyletancku, nie jak „robótkę" w rodzaju haftu czy batikowania, ale zupełnie fachowo. Książki jej nie mają nic zgoła wspólnego z „normalną" twórczością żeńską, która polega (z wyjątkiem wyjątków) na mizdrzeniu się nad papierem, jak przed zwierciadłem. Miłaszewska nie zajmuje czytelnika sobą, nie każe mu się zachwycać własnym wdziękiem, nie przebiera się w suknie swoich bohaterek dla celów kokieteryjnych. Umie jednem słowem pisać nie o sobie, co jest w powieściach kobiecych dzisiejszej epoki zjawiskiem rzadkiem. Pisze polszczyzną śliczną, stylem, kształconym na najklasyczniejszych wzorach. Gardzi figlasami barokowemi i nigdy nie daje przewagi formie nad treścią.

Pisać tak po prostu umieją tylko ci, którzy mają dużo do powiedzenia. Miłaszewska zaś do powiedzenia ma bardzo wiele, posiada bowiem dar wnikliwej spostrzegawczości, który w połączeniu z prawdziwie poetycką wyobraźnią, niepowszednią wrażliwością uczuć i wybitną inteligencją — pozwala jej talentowi owocować bujnie, pięknie i pożytecznie.

Twórczość jej jest pogodna. Za wielkim wzorem Prusa i Sienkiewicza pisze dla pokrzepienia serc. Podobnie jednak jak dzieła tych mistrzów, tak i jej powieści tchną często utajonym tragizmem. Tragizm ten leży w jej poczuciu, iż człowiek zdolny jest do przeżyć, nie dających się zmieścić w kolejach przysądzonej mu rzeczywistości. Bez efektów filozoficznych i bez kokietowania gwarą pseudonaukową — a tylko przez proste zestawienia faktów, które się zdarzyły, z takiemi, które zajść mogły, autorka pogłębia realizm życia. W postaciach jej bez względu na ich temperament, wiek, kulturę i pochodzenie, — odczuwamy zawsze bliźniego, czyli istotę, której historja mogłaby być naszą własną. Patrząc w ich byty książkowe, mamy wrażenie, że odnajdujemy zapomnianych znajomych, z którymi naprawdę przeżywało się niejedną dolę i niedolę i których przypomnienie uzupełnia jakąś wyrwę w naszych osobistych wspomnieniach. Fikcje artystyczne, dzięki talentowi autorki, stają się na chwilę rzeczywistymi członkami naszego bytu realnego. Obfitość listów, jakie Miłaszewska otrzymuje od czytelników w tej właśnie materji, potwierdza wyraziście wywody powyższe.

W powieści o „Zatrzymanym zegarze" znajdujemy najpełniejszy obraz owej mnogości różnych rzeczywistości w jednostce. Nauczycielka Krystyna, bohaterka tego utworu, podobna jest drzewu o odrąbanych konarach: wyrosło smukle i wysoko-piennie, chociaż mogło być rozłożyste i rosochate. Guzy głównego pnia świadczą, że cały lasek młodych pędów porosnąć na nim był zdolny. I cóż stąd, że je ścięły nożyce konieczności, albo piła względów życiowych? Przecież zniszczone w zarodku konary pomimo wszystko istnieją nadal w tężyznie drzewa i we wzmożonej obfitości jego soków, dzięki którym osamotniony pień główny wybujał tem wyżej swą uszczuploną koroną. Nauczycielce Krystynie nie wydarło sieroctwo uczuciowego obcowania z rodzicami, ani rozłąka z ukochanym nie podcięła w niej zdolności do kochania, — tak samo, jak dożywotne panieństwo nie pozbawiło jej szczytnego prawa macierzyństwa— wobec dzieci cudzych. Zatrzymany zegar losu nie wydzwonił dla niej weselnego kuranta, lecz go przetworzył w wytrwałe tik-tak codziennych obowiązków, przesączył jego ton w rzeczywistość wspomnień i marzenia.

Kiedyś, w przededniu wielkiej przemiany, zwanej śmiercią, wydzwoni jednak zegar pełnym dźwiękiem tę zatrzymaną godzinę. Autorka umie nas o tem zapewnić z Sienkiewiczowską nieomal powagą prostoty: „Słońce wędruje przez niebo, jak człowiek przez własne życie — i jeden tylko ma zenit: południe. A potem rozpoczyna się pośpieszna wędrówka w dół, ku innej, ku t a m t e j stronie. Wreszcie, nim wszystko zapadnie w nicość, zszarzeję, zgaśnie,—ta jedna krótka chwila—jak błysk—która zdaje się trwać nieskończenie... To przejście w inne światy, ten moment w którym zarówno człowiek, jak słońce w jednym ułamku sekundy przeżywa całe swoje istnienie". Przeżywa, — dodajmy, — istnienie pełne, z wszystkiemi jego możliwościami niedorozwiniętemi w biegu rzeczywistości potocznej, zbyt szczupłej dla człowieka.

W nowym tegorocznym utworze swoim p. t. „O złoty włos" (Nakład księgarni św. Wojciecha. Poznań. Str. 304) autorka przysłoniła jeszcze misterniej tragizm wrażliwej duszy kobiecej, perypetjami powieści obyczajowej. W zgiełku wielkomiejskim, wśród ruchliwego zbiorowiska ludzi i pół-ludzi ze świata i półświatka — dramat serdeczny zacnej kobiety staje się napozór drugoplanowym szczegółem powieściowym. Nieskazitelna uczciwość osoby niewstydzącej się staromodnego miana kapłanki domowego ogniska, wygląda w „Złotym włosie" na neutralne tło, od jakiego dobrze odbijają jaskrawe kolory kobiety wyzwolonej z przesądów, niejakiej pani Ryśki, odgrywającej z powodzeniem rolę lwiczki salonowej, jako że w naszym klimacie łatwiej o rysie, niż o lwy.

Precyzyjny portrecik powieściowy złotowłosej uwodzicielki wabi śmiałością i lekkością. Pani Ryśka nie jest ani trochę groźnym typem pożeraczki serc: serc nigdy nie zjada, conajmniej lubi je zadrapać, zagarniając kocią łapką. Pieszczota tem milsza, że zlekka drapieżna, wprowadza szczęśliwych pieszczochów w stan lubej kołowacizny, będącej cechą obowiązkową w tem intymnem kółku. Pyszna jest pani Ryśka na tle swojego męskiego haremu! — nieboszczka Żabusia Zapolskiej, ożywiłaby się na jej widok, a może i przyklasnęłaby rekordowym manewrom. Typ pani Ryśki, zdolnej mieć w życiu własnem tylko przyjemności lub nieprzyjemności, w życiu cudzem stwarza niekiedy dramaty.

Ostatnia powieść Miłaszewskiej pokazuje nam właśnie taki dramat wywołany mimochodem. Trochę przez

kaprys, trochę dla wprawy, trochę od niechcenia zachciało się pół-kobiecie (niegdyś pół-dziewicy), zamącić żywot ludzi poczciwych z prawdziwego, najzwyczajniejszego zdarzenia. Rozgościwszy się w cichym domku, gdzie gościnność i ufność jest tradycyjnem prawem, sportsmenka miłości kilku wprawnemi rzutami wygrywa z miejsca partję, czyli rozkochuje w sobie męża w chwili, gdy jego żona ma zostać matką po raz pierwszy.

Pora tak dobrze wybrana ułatwia triumf niewątpliwy, lecz nieco kłopotliwy: bo i cóż począć z postrzeloną w serce męską zwierzyną, która poczyna zgłaszać dzikie pretensje do wyłączności romansowej i nie chce się oswoić z normalnem życiem stadnem w salonie swej pogromczyni?

Koniec końców niewygodny kochanek wróci pod prawowitą strzechę, jako dość dobry mąż i ojciec. Może nawet lepszy niż był, bo doświadczeńszy i więcej umiejący cenić dom i żonę. Przebaczenie, spokój, porządek zapanują nanowo w cichym domu... Tylko w życiu wewnętrznem zdradzonej przelotnie kobiety coś się zmieniło: nie utraciła szczęścia, ale jej szczęście coś utraciło bezpowrotnie. Może tylko swój blask, a może skrzepnie, skurczy się, zmaleje—o włos, o złoty włos conajwyżej.

I znowu coś, jakby cichy tragizm zatrzymanego zegara. Znowu ktoś rozminął się ze swem szczęściem, a raczej — z pełnem szczęściem swojem... Ale przecież szczęście nie jest koniecznie potrzebne do życia. Znowu mamy wrażenie, że zegar losu czyjegoś się zatrzymał, że nie wydzwonił jakiejś drogiej, bardzo oczekiwanej godziny.

Melancholja w głębi powieści Miłaszewskiej. przesącza się zresztą tylko jako strumień podziemny. Nazewnątrz w barwnej akcji pulsuje życie i tętni bujna krew w wybornie zaobserwowanych postaciach. Cechy wartościowe autorka umie wypatrywać nietylko w istotach wyjątkowych: ujawnia je i przedstawia ze swadą zarówno w postaci przemiłego szlifibruka i bawidamka, zwanego „*En tout cas*", jak w podlotku, ujmującym bezpośredniością przeżyć i śliczną cerą budzącej się duszy. Pamiętnik czternastoletniej Wandzi, wpleciony zręcznie w tok powieści, urozmaica go autentyczną świeżością spostrzeżeń, stanowiąc zarazem śliczną, zamkniętą w sobie całostkę.

Miłaszewska ma już za sobą pokaźny dorobek literacki: cztery powieści i tom nowel oprócz rozsypanych po pismach opowiadań. Już pierwsza jej książka „Veni Creator" zapowiadała talent jędrny, złączony bezpośrednio z życiem i jego prawdą. W książce tej dała autorka miarę swych różnorodnych możliwości pisarskich. Obok wytwornego estetyzmu (nowela „Waldi") znajduje się już w tym zbiorku obraz przejmujący tragicznością życia, zapowiedź dalszej twórczości. Tutaj „Veni Creator" nie brzmi hymnowo: raczej bieży jękiem ponad świat o pomoc dla świata.

Pozatem ze znawstwem i zacięciem gawędzić lubi Miłaszewska o starym obyczaju. Instynktem rasowym odczuwa piękno wsi i dawnych dworów, a z lamusa przeszłości dobywać potrafi kochającą ręką pamiątki, łączące nieraz świętość relikwij z cudactwem swoistem i sercu polskiemu zrozumiałem. Z sadami, rolą i łąkami umie autorka „Cmentarza i Sadu" współżyć o każdej porze roku bożego, więc też w jej prostych powieściach pełną piersią oddychać można ziemią, czując niebo ponad nią.

Wanda Miłaszewska pisuje nietylko prozą ale i wierszem. Niestety rymy swoje drukuje bardzo rzadko. W szufladzie biurka przechowuje kajety pełne prześlicznych poezyj lirycznych, własnych i przekładanych, które w rzadkich chwilach decyduje się odczytywać w kółku przyjaciół. Wiersze jej są zachwycające, bardzo oryginalne, mistrzowskie pod względem formy. Największy czas, aby wydane w książce stały się własnością ogółu.

STEFAN GODLEWSKI

Z ANGLJI WSPÓCZESNEJ

NAKŁADEM Ossolineum we Lwowie ukazała się książka prof. Wł. Tarnawskiego „Z Anglji współczesnej", pięć szkiców (Charakter Anglików—„Dynaści" — Tomasza Hardy — Grupy społeczne w dzisiejszej beletrystyce angielskiej — Dwie ostatnie sztuki Shaw'a — Kwestja żydowska w Anglji). Autor, jeden z najwybitniejszych anglistów naszych, dał rzecz wysoce pouczającą i zajmującą. Wprawdzie zastrzega się, że do poznania Anglji i anglików szedł przez badania literackie, ale literatura angielska jest dlań „zwierciadłem życia", co, pomnożone przez osobiste poznanie kraju i ludzi, nadaje wybitną wartość pracy prof. T. Zwłaszcza pouczające jest studjum o charakterze Anglików. „Anglik jest... od reszty narodów europejskich zgruntu odmienny". Łatwo go odróżnić wszędzie zagranicą, bo podkreśla swą odrębność w przeciwieństwie np. do Polaków, którzy przeważnie... cieszą się, gdy ich biorą za tubylców. Podkreśla zaś — bo jest dumny ze swej rasy a pozostałych ludzi uważa za barbarzyńców. Duma ta jednak obowiązuje go jako dżentelmena. Anglik chce być dżentelmenem — którego prototypem jest bodaj rycerz średniowieczny; szczególnie unika kłamstwa. Godzi się to z przysłowiową hypokryzją, która wyrosła z purytanizmu i w życiu prywatnem bywa hamulcem rozpowszechniania zła. Religijność Anglików wiąże się ściśle z zagadnieniami politycznemi i — etyką. W Anglji przekonania religijne obowiązują. Człowiek religijny bywa przeważnie moralny. „Etyka płciowa jest chlubą W. Brytanji" — dzięki wychowaniu charakterów Anglik kocha przyrodę i obcuje z nią bardzo chętnie, uciekając do parków londyńskich, nad morze i w głąb kraju. Co do pracy „Anglik równocześnie jest i nie jest pracowity" — ale umie pracować i organizacja pracy sięga „nieledwie ideału". Uzdolnienia są zawsze wyzyskane. Niema tam tak często spotykanych w świecie słowiańskim genjuszów „uniwersalnych". Bardzo charakterystyczny jest stosunek do tradycji, zaczynając od zamiłowania do dawnych strojów i malowniczych uroczystości, o czem „my nie mamy wyobrażenia".

Patrjotyzm angielski idzie w parze z życiowem powodzeniem, a stowarzyszenia społeczne, sekty religijne podnoszą kulturę ducha przez szereg praktycznych urządzeń. Inicjatywa prywatna jest olbrzymia— poszanowanie cudzej indywidualności — ogromne. Koncepcja zaś wolności — swoista. Wolny to ten, który coś posiada. Prawo własności daje prawo do władzy. Historycznie — z niższych warstw wielki szedł dopływ do wyższych, gdyż Anglicy musieli być równocześnie i zachowawczymi i postępowymi — „jednostka zawsze ma możność wzniesienia się wyżej". Pozostaje snobizm angielski wbrew swym głupim pozorom — społecznie twórczy. Bo oto parjas, zamiast ściągać w dół wyższych od siebie, usiłował sam się do nich wznieść. W życiu uczuciowem Anglik jest *de facto* gwałtowny, ale się umie powściągać, jest przytem egoistą i bezwzględnym — ale jako przyjaciel — jest wierny i solidny. Lubi hazard, jest uprzejmy po swojemu towarzysko. W konkluzji autor jednak „wczorajszą i przedwczorajszą" Anglję woli od dzisiejszej, gdyż wojna i nieuczciwa polityka obniżyły poziom kulturalny społeczeństwa, zresztą naogół zdrowego i dzielnego podawnemu. „Wielka tradycja ciągłości życia narodu nie słabnie... wre praca społeczna i nie próżnują twórcze umysły".

Zarys psychologji stosunków politycznych w Anglji zamyka to ciekawe studjum prof. Tarnawskiego.

L. K.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Oczekiwane nowości. Stanisław Miłaszewski złożył teatrowi Narodowemu dramat pisany wierszem p. t. „Farys". Rzecz osnuta na dziejach Emira Rzewuskiego. Ci, którzy znają ten utwór z rękopisu, opowiadają o nim z najwyższą pochwałą. „Farys" wkrótce ma ukazać się na scenie.

Utalentowany poeta Stefan Godlewski wydaje nakładem księgarni F. Hoesicka zbiór swoich utworów poetyckich wierszem i prozą. Książka będzie nosić tytuł „Grabinka". Wydanie będzie wytworne i obudzi żywe zainteresowanie.

Donoszą, że wysoce ceniony młody poeta J. Gałuszka (Kraków) wypuści wkrótce w świat nowy tom swoich poezyj.

Wkrótce doczekamy się pierwszej dobrze opracowanej powieści z życia rybaków polskich. Od dłuższego czasu studja w tym zakresie robi utalentowany powieściopisarz i publicysta Jerzy Bandrowski. Doskonałe korespondencje z Jastarni zamieszcza w „Kurjerze Poznańskim" i „Słowie Pomorskiem".

*

W czasopismach zasługują na uwagę prace: W „Przeglądzie Współczesnym" prezes Akademji Um. Jan Rozwadowski ogłasza (zeszyt styczniowy i lutowy) refleksje p. t. „Zasadniczy węzeł naszego życia i biegunowość poznania". Tamże Aniela Gruszecka ogłasza studjum o współczesnej powieści polskiej, prof. Pigoń „Uwagi o prologu Kordjana" i ks. Michalski „Myśl Franciszkańska i jej wpływ na Dantego". — W „Słowie Polskiem" J. E. Skiwski drukuje rozprawę „Struktura duszy narodowej" Refleksje na temat książki Zygmunta Wasilewskiego „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej". (od 16 lutego w odcinkach). W „Ruchu Literackim" B. Suchodolski „Ludzie jako przedmiot badań odrębnej nauki humanistycznej".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zmarły nie tak dawno słynny nasz podróżnik, generał Bronisław Grąbczewski, zostawił po sobie ciekawą garść wspomnień, wydanych obecnie (Gen. Br. Grąbczewski — Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień. W Warszawie, Gebethner i Wolff). Syn powstańca z 1863 r., następnie oficer w służbie rosyjskiej, awansujący szybko, nieustraszony podróżnik, pierwszy z europejczyków, którzy przecięli Pamir aż do granicy Afganistanu—potem zarządca Fergany i Pamirów, komisarz pogranicza chińsko-rosyjskiego, generał-gubernator Astrahania, hetman wreszcie kozacki — oto etapy tej wyjątkowej dla Polaka-katolika karjery. Szczególnie interesujące są wspomnienia o carze Mikołaju II, z którym generał stykał się osobiście wiele razy, następnie sylwetki rządu owoczesnego; różni panowie jak Plewe, Durnowo, gen. Aleksiejew, Kuropatkin i inni ukazują się we właściwem świetle. Relacje o przygotowaniach do wojny rosyjsko-japońskiej, które gen. Gr., wyborny znawca Japonji, jeden wykrył wbrew dyplomacji i sferom wojskowym, a wreszcie obraz zarządu olbrzymiemi połaciami Wschodu, gdzie zjednywał sobie powszechny szacunek i przywiązanie. Wszystko to wraz z drobniejszemi epizodami, stanowi świetną charakterystykę działalności niepospolitego człowieka, a zarazem odsłania nam nędzę rządów carskiej Rosji. Ogromna szkoda, że śmierć wytrącił pióro z ręki i dalszych fragmentów brak.

*

Znana autorka Zofja Rygier-Nałkowska napisała ostatnio „powieść internacjonalną" p. t. „Choucas" (Warsz. Geb. i Wolff 1926). Mówiąc ściśle, nie jest to powieść, ale pamiętnik z pobytu w jakiemś wysokogórskiem uzdrowisku szwajcarskiem. Goście z pensjonatu, starzy i młodzi, zdrowi i chorzy, zadowoleni i nieszczęśliwi, są dla autorki pretekstem do studjów pióra, użytego z wielkiem powodzeniem do funkcyj malarskich. Bo nawskroś malarski jest talent p. R. Nałkowskiej. Nie naturalistyczny, przy pewnych jego pozorach nawet, ale stylizacyjny. P. Nałkowska stylizuje swe objekty, nadaje im pewną kondensację, lubowanie się w sobie, estetyzm szczegółików i t. d. Natomiast w opisach przyrody tętni dużo swobody i choć dorywczo rzucane na papier te fragmenty z państwa śniegu, mrozów, słońca, skał są doskonałe. Co do osób tej powieści — zaleta ich, jak się rzekło, tkwi w malarskości głównie, chociaż i psychologja bywa interesująca w pewnych odsłonięciach ukrytego cierpienia. Zwłaszcza wbijają się w pamięć sylwetki ormianek, wygnanek z Turcji po straszliwych rzeziach, jakich przy delikatnych uwagach Europy dopuszczała się swego czasu i nieodrodzona i odrodzona Turcja.

*

Ukazała się książka, zasługująca ze wszech miar na uwagę w obecnych warunkach. Jest to książka Henryka Rolickiego p. t. „Cele i drogi propagandy wywrotowej". Rozdziały: Ku sanacji umysłowej. Źródła pesymizmu. Anarchja czy hierarchja? Przywłaszczenie kapitału. Niszczenie rasy. Przyszłość narodów. Wydała tę dobrą książkę księgarnia św. Wojciecha. Cena zł. 1. 80.

*

W 50-tą rocznicę zgonu Aleksandra Fredry wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich przystąpiło do wydania wzorowego tekstu komedyj jego w 6-ciu tomach z objaśnieniami i wstępem Eugenjusza Kucharskiego. Tom VII i VIII obejmą utwory poetyckie Fredry i jego pisma prozą.

Dotychczas ukazały się na półkach księgarskich (ob. Nowe książki w n. 5 „Myśli") trzy pierwsze tomy, obejmujące 92 arkuszy druku. W chronologicznym układzie zestawione komedje poprzedza doskonały życiorys literacki Fredry, napisany przez prof. Eug. Kucharskiego. Życiorys ten wyszedł także w osobnej odbitce i spotkał się z uznaniem fachowych ocen.

Wydanie nowe „Komedyj" Fredry nie jest przedrukiem wydań istniejących, ale wydaniem krytycznem. Przy redakcji tekstu uwzględniono wszystkie zmiany późniejsze, dokonane przez autora, biorąc za podstawę krytyki tekstu wydanie piąte warszawskie z r. 1880. Ale i to wydanie poddano krytyce, porównano z rękopisami autografów, usuwając liczne pomyłki, które zakradły się do wydań drukowanych. Na końcu każdego tomu podano „Odmiany tekstu" i szczegółowe „Objaśnienia" wydawcy.

W porównaniu z dotąd istniejącemi, przeważnie wyczerpanemi wydaniami wnosi ono wiele nowego. Dodać należy, że papier i strona techniczna nowego wydania są wytworne. Każdy tom zdobi podobizna Fredry z innego czasu.

*

Styczniowy zeszyt „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego" daje rozprawy: „Dwie opinje w sprawie rozporządzeń Prezydenta Rzplitej" prof. Lisowskiego, „Kontrola faktyczna w ustawie o Kontroli Państwowej", „Stwierdzenie obywatelstwa i likwidacja dóbr niemieckich" St. Dembińskiego, „Komercjalizacja polskch kolei państwowych" A Chełmońskiego, „W sprawie listów zastawnych dolarowych i żytnich, prof. Ohanowicza. „Przyczyny spadku złotego" prof. Taylora. Przegląd Piśmiennictwa: 54 recenzyj i sprawozdań krytycznych z zakresu prawa, ekonomji i socjologji oraz bogata bibljografja odnośnej literatury polskiej i obcej. Kronika ustawodawcza, sądownicza i ekonomiczna zamykają ten bogaty zeszyt.

*

Powiatowa Organizacja Narodowa w Tarnopolu, dzięki inicjatywie swego przewodniczącego senatora Orlińskiego, wydała piękną książkę p. t. „Przeszłość i zabytki Województwa Tarnopolskiego", upamiętniając w ten sposób 250-ą rocznicę najazdu turecko-tatarskiego na Podole, zakończonego świetnem zwycięstwem króla Jana III na polach Lesienic pod Lwowem. Na treść książki złożyły się prace znanych badaczy przeszłości Podola pp. Bohdana Janusza („Przeszłość przedhistoryczna", oraz „Domy boże, dwory i pomniki") i Aleksandra Czołowskiego („Przeszłość historyczna" i „Zamki"). Wspaniałe to wydawnictwo zawiera na 78 tablicach 160 ilustracji, dających pojęcie o bogactwie pozostałych na ziemi tarnopolskiej cennych zabytków naszej przeszłości.

*

Prof. Adam Czortkowski powziął szczęśliwą myśl zebrania w jednym tomie różnych ciekawych, znanych lub zgoła zapomnianych historyj miłosnych z naszej przeszłości. Dał im tytuł „Obłąkania serdeczne" (Lwów, „Wydawnictwo Polskie"). Tyczą się one wielu wybitnych, historycznych postaci, jak caryca Katarzyna, Stanisław August, W. ks. Konstanty, król Wilhelm I pruski i t.d. to też poza obyczajowem budzą i historyczne zainteresowanie. Szkoda, że kompilator nie uzupełnił tekstów przypisami; zyskałby w niejednem surowy bądź co bądź materjał.

*

Do recenzji „Dziejów literatury polskiej" Konstantego Wojciechowskiego (w II-em wydaniu), recenzji, skreślonej piórem p. Józefa Birkenmajera w Nr. 2 „Myśli Narodowej", pragnę dorzucić jeden niewątpliwy zarzut, co bodaj jest najcięższy z zarzutów, które można tej—doskonałej zresztą—książce postawić. Oto z niedopatrzenia, albo co gorsza ze zlekceważenia, opuścił autor, opracowujący czasy poromantyczne w naszej literaturze (p. Aleksandrowicz), całkowicie nazwisko... Cyprjana Norwida, o którym w całej książce niema ani słowa, gdy tymczasem zostali uwzględnieni tacy pisarze, jak Teslar, Relidzyński i in. Od zarzutu tego wolny jest zresztą zupełnie Wojciechowski, który książkę swą pisał w r. 1905, gdyż wtedy jeszcze Norwid był rzeczywiście mało znany, ale p. Aleksandrowicza nic nie może usprawiedliwić, tembardziej, iż W. w swym „Zwięzłym podręczniku historji literatury polskiej" (r. 1918), poświęcił Norwidowi dłuższą wzmiankę, nazywając go „jednym z głębokich umysłów współczesnych" (str. 196), oraz co więcej w metodyce „Język polski" (1923) dał nader trafną i subtelną analizę paru utworów Norwida (str. 253—4), zalecając tę lekturę w szkole średniej. Wobec tego nie ulega wątpliwości, iż gdyby ś. p. Wojciechowski sporządzał sam II-ie wydanie swej książki, Norwid nie byłby tak skandalicznie zaniedbany. S. C.

U SŁOWIAN

Ważną bardzo pracę ideologiczną wydał b. rektor uniw. bratislawskiego Milos Weingart p. t. *„Slovanska vzajemnost“*. Praca ta na swych 250 stronach podaje pewnego rodzaju sformułowanie poglądów znacznej większości społeczeństwa czeskiego na problem zbliżenia się wzajemnego Słowian. Weingart konkretyzuje ten problem jako konieczność ścisłej słowiańskiej współpracy kulturalnej. Przedstawia najpierw rozwój dziejowy politycznych i kulturalnych stosunków międzysłow. w dwu okresach do końca XVIII w. i od pocz. XIX do chwili obecnej. Wykazuje wpływ wielkich ogólno-europ. prądów kulturalnych na Słowian, więc humanizmu, reformacji oświeconego absolutyzmu. Cenna i interesująca praca Weingarta zasługuje na rychły przekład na język polski.

Wyszła jako tom 2 Zbioru rozpraw i odczytów extensy uniw. Komenskiego, Bratislava 1926.

*

Z radością należy zanotować wzmożenie się zainteresowania piśmiennictwem innych narodów słowiańskich ze strony badaczy literatury polskiej. Zainteresowanie to jest częstokroć niezbędne o ile chodzi o najstarsze zabytki literackie języka polskiego. Ostatnio ogłosił w lwowskim „Pamiętniku literackim“ t. XXII i XXIII docent uniw. lwows. Dr. Stefan Wierczyński bardzo interesującą a cenna rozprawę p. t. „Rozmowa człowieka ze śmiercia w literaturze średniowiecznej polskiej i czeskiej“ (też w osobnej odbitce, str. 50). Rozprawa ta na tle porównawczem rozpatruje stosunek znanego zabytku staropolskiego do pierwowzoru łacińskiego i do późniejszej z tego ostatniego przeróbki czeskiej. Rozbiór literacki zabytku, wzbogacony przedstawieniem analogij ruskich i st. niemieckich, zamyka studjum będące jednym z najcenniejszych przyczynków do badań nad literackiemi stosunkami polsko-czeskiemi, jak też i nader ważną monografją dotyczącą piśmiennictwa staropolskiego wogóle.

*

Numery 9 i 10 (listopad, grudzień 1926) rocznika XVIII miesięcznika praskiego *„Slovansky Prehled“* (przegląd słowiański) przynoszą nader interesujące polonica, przedewszystkiem (w obu n-rach) studjum E. Janouska. „Polska a wojna światowa“ (koniec cz. I.), przedstawiające rozwój wypadków z końcem 1915 r. i w 1916 na ziemiach polskich, akcję okup. w b. kongresówce, działalność Dmowskiego w Rosji i na Zachodzie, wreszcie pewną nieszczerość między Wiedniem a Berlinem odnośnie sprawy królestwa w Polsce; Janousek operuje wyłącznie dokumentami, na których podstawie umie dać jasne objektywne przedstawienie.— Nadto godne uwagi są artykuły; (Nr. 9), Muzyka ludowa w Macedonji i Starej Serbji (L. Kuba), Literatura serbskochorw. w czasie ruchu niepodległościowego (D. Prohaska); (№ 10). O studjum geogr. ziem. słow. (J. Król). Literatura łużycka w r. 1925 (M. Kajecmar). Obszar ziem ukraińskich i liczba Ukraińców (H. Boczkowski) [to ostatnie oblicza autor według S. Rudrzyckiego na 900 tys. km. kw. do miljona i 44 miljn. ludności!] Dział polityczny szczegółowo przedstawia wewnętrzną i zewn. sytuację Polski.

*

Również i polska literatura polityczna dotycząca Słowiańszczyzny wzbogaca się. Jako № 5 wydawn. „Po przez Słowiańszczyznę“ wydał niedawno znakomity nasz znawca spraw słowiańskich b. poseł polski w Sofji min. T. S. Grabowski szkic p. t. „Bułgarja po przewrocie 1923 — 1926“. Jest to praca w swoim zakresie pierwszorzędna. Obejmuje okres od krwawego przewrotu 9 czerwca 1923 przeciwko Stambolijskiemu, aż po objęcie rządów przez gabinet koalicyjny Łapczewa w r. 1926. Jasno i rzeczowo przedstawia autor rozstrój polit. w jaki wprowadził Bułgarję eksperymentujący, a nieudolny i bolszewizujący chłopski rząd Al. Stambolijskiego oraz trudne ale chlubnie spełnione dzieło pacyfikacji i odbudowy kraju przez rzekomo reakcyjny, ale naprawdę patrjotyczny gabinet Cankowa. Autor cennego tego studjum kończąc stwierdza, że Polska zbyt mało uwagi zwraca na Bułgarję, gdzie odczuwa się żywą do nas sympatję, a jest duże pole do działalności.

*

Wyszło ostatnio w Pradze po śmierci już autora wydane dzieło Fr. Kvapila „Błękitne Wyspy“ (*„Modré ostrovy“*, str. 236, w Praze 1926. nakł. J. Otto). Ostatnia ta praca serdecznego naszego przyjaciela, który położył dla propagandy polonofilskiej w Czechach olbrzymie zasługi, jest zbiorem szkiców z literatury polskiej. Obejmuje: O Juljuszu Słowackim (z przekładem „Mego testamentu“), Przekład „Grobu Agamennona“, Maryla (z urywkami przekładu „Dziadów“), Lilla Weneda, Orlika (o „Zamku Kaniowskim“), W zachwyceniu (o Lenartowiczu), Przekład „Dumy o Wacł. Rzewuskim“, Ostatni z plejady romantyków (o K. Ujejskim), Adam Asnyk. Szkice liter. dzielą się na dwie grupy: Z kwiecia romantyzmu i Szukanie nowych dróg. Książkę wydał z pośmiertnego rękopisu przyjaciel zmarłego, również wybitny polonofil Ad. Cerny (por. „Myśl Nar.“ z r. 1926, № 6, str. 93/94).

*

Zakończyło VII rok istnienia interesujące bardzo pismo, poświęcony Łużycom praski miesięcznik *„Cesko-Luzicky Vestnik“* (kurjer czesko-łużycki); № 9 (listopad) przynosi wiersz J. Z. Rausara o poecie Cisinskim i artykuł Fr. Hausnera Łużyce a zagranica, dalej kronikę informacyjną o życiu Serbów, Łuż. i bibljografję, która między innemi zwraca także uwagę na ukazujące się w „Myśli Nar.“ notatki o rzeczach łużyckich (w rubryce u Słowian). № 10 (grudzień): Do Łużycy (wiersz A. Dvoraka „U schyłku roku“ (Vl. Zmeskala), kronikę i bibljografję, wreszcie dwa poematy łużyckie (piękny wiersz patrjotyczny „Zawdzięcza nam!“ Miny Witkoje).

*

Ruch literacki w Łużycach rozwija się coraz żywiej. Leżą przed nami: rocznik Macierzy Łużyckiej *„Casopis Macicy Serbskeje“* 1926 oraz parę numerów miesięcznika literackiego *„Łużice“* (r. XLI). Rocznik Macierzy Łuż. podaje uwagi dialektyczne z Górnej Łużycy (G. Swgeli), dopełnienia do słownika górno-łuż. (Nawki), szkic E. Muki o dziejowem znaczeniu czasownika łużyc., studjum Krawca o pieśni „stawajmi, stawaj, pokonco“ i szeregu niedrukowanych utworów H. Zejlerja. *„Łuzice“* obok pięknych poematów M. M. Kósyka, J. Skaly, M. Witkoje i in., dalej utworów prozaicznych (Hajncy, Hancky, Zaleskiego), przynosi studja liter. przez red. pisma prof. Wicaza. Cały numer 5 pisma jest poświęcony działalności znakomitego czeskiego zbieracza ludowych pieśni słowiańskich L. Kuby.

*

W ostatnich dniach wyszło w Pradze znamienne dzieło apostoła pan i neoslawizmu Dr. Karola Kramarza p.t. *„Na obranu slovanské politiky“*. Dzieło to jest polemiką z poglądami min. Benesza, wyrażonemi przez tegoż w pracy „Problemy polityki słowiańskiej“, zasługuje też na osobne szerokie omówienie, zwłaszcza ze względu na pewne wzmianki dotyczące Polaków i sprawy polskiej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zmarł po 80 lat życia i 60 pracy pisarskiej słynny krytyk literacki Jerzy Brandes. Był żydem z rasy, z wyznania—bezwyznaniowcem, politycznie jednym z przewódcow masonerji światowej, z paszportu — duńczyk, z upodobań — niemiec. Najsławniejsze jego lata przypadają na lata 1880 — 1900 pobytu w Niemczech. Jako organizator lóż masońskich odbywał inspekcje po Europie. W tym chrakterze zaszczycił Polskę odwiedzeniami w r. 1885 i w r. 1898. Pokrywał misję odczytami, wkradał się w sławę komplementami. Ale w czasie wojny zrzucił maskę, jako otwarty nasz wróg. Przełożone na język polski „Główne prądy literatuty XIX w“ są wzorem tupetu i blagierstwa żydowskiego.

*

Księgarnia Plon'a wydaje pośmiertną książkę Maurycego Barrès'a, noszącą tytuł *„Le mystére en pleine lumidére“*. Autor *„Dolori et Amori sacrum“* napisał tę książkę w 1923 r. Jest to zbiór artystycznych i literackich rozmyślań pisarza na temat budzącego się w artyście natchnienia, zmagań się wewnętrznych człowieka, niebezpiecznych marzeń, które odbierają siłę do czynu, a które Barrès określa mianem *„Musique de Perdition“*. Do najpiękniejszych ustępów książki należą stronice poświęcone pogańskiej Sybilli, oraz dzieciństwu Joanny d'Arc i młodości malarza Claude Gellée, z którym, jako „Lotaryńczykiem“, tyle wspólnych chwil przeżył duchowo Maurycy Barrès.

*

P. Lucien Romier, znany ekonomista, autor *„L'Homme blesse“* i *„Explication de notre temps“*, w której dał nam obraz Francji pod względem ekonomicznym, historycznym i politycznym, wydaje teraz nową książkę p. t. *„Nation et Civilisation“* (Kra, éditeur). Jest to szereg interesujących rozmyślań o znaczeniu międzynarodowej polityki, ze szczególnem uwzględnieniem europejskiej, a przedewszystkiem oczywiście francuskiej. Konkluzja, do której dochodzi autor, jest bardzo znamienna. P. Romier uważa bowiem, że jest konieczne dla narodu posiadanie arystokracji, elity, rozumianej w najlepszym tego słowa znaczeniu „któraby stała na straży cywilizacji“.

*

„Sur le Quai Wilson“—to zdaje się pierwsza powieść napisana na temat Ligi Narodów. Autor jej p. Marcel Rouff wyraża się o niej z ogromną surowością. Kreśli w niej portret Jean Morchaud, młodego entuzjasty, radykała, który dostaje się do Sekretarjatu Ligi i oddaje zrazu pracy z jak największym zapałem. Po bliższem jednak poznaniu Wilsonowskiej instytucji,

entuzjazm opada zupełnie, a w miejsce jego przychodzi okrutne rozczarowanie. Do wszelkiego rodzaju intryg w łonie samej Ligi, mieszają się również i intrygi kobiece, do reszty zniechęcające młodego radykała. W krytycyzmie swoim p. Rouff idzie bardzo daleko, a jedynie uznaje za użyteczne Międzynarodowe Biuro Pracy, którą to instytucję uważa za „nieodzowną dla ludzkości".

*

Maurycy Maetelinck w „*La Vie des Termites*" (Fasquelle) kreśli interesujący obraz życia i obyczajów termitów na podstawie obserwacji i badań uczonych specjalistów. „*La Vie des Abeilles*" przedstawiała rodzaj raju, pełnego światła i aromów, podczas kiedy podziemna egzystencja termitów ma w sobie coś z piekła, „wstrętnego i brudnego skąpstwa, gdzie panuje atmosfera więzienia: jest to miejsce skazańców na ciężkie roboty, o grobowym nastroju". A jednak termity żyją tam od tysięcy lat, posiadając dziwną i najstarszą cywilizację, jaka istnieje. Tajemnice tego życia termitów, jakie wyjawia nam Maeterlinck, są naprawdę godne podziwu. Posiadają one bowiem dużą inteligencję, zmysł organizacyjny i dyscyplinę, potrzebne do kierowania całem tem podziemnem społeczeństwem. Jednakowoż, pomimo tego wszystkiego, zrzeszenie termitów ma w sobie coś odpychającego: panuje bowiem pomiędzy niemi integralny komunizm, zupełne poświęcenie jednostki dla dobra kolektywnego oraz determinizm czynów, wykluczający wszelką wolność.

TEATR

ŚWIĘTY GAJ

TEATR Polski wystawił świetną komedję Flersa i Caillaveta p. t. „Święty Gaj". Utwór ten, napisany dawno przed wojną, nie tylko nic nie utracił ze swojej świeżości, ale dla Warszawy teraz dopiero stał się aktualny. Jest to satyra wykpiwająca z niezrównanym dowcipem francuskie ministerjum sztuk pięknych oraz dekorowanie kobiet orderami. Dopókiśmy nie mieli własnego departamentu sztuki i kultury, i własnych orderów, dopóty komedja ta była dla nas egzotyczna. Obecnie patrzymy na nią zupełnie innemi oczyma i widzimy w niej poniekąd odźwierciedlenie stosunków rodzimych.

Jak w olbrzymiej większości sztuk Flersa i Caillaveta tak i w Świętym Gaju styl komedjowy gatunku najprzedniejszego harmonizuje przepysznie z farsowemi konceptami sytuacyjnemi i z kawałami w rodzaju kabaretowym. Jednak najjaskrawsze nawet z tych kawałów tak są przesycone solą attycką, że zakonserwują się niewątpliwie na wieki wieków i nigdy nie będą sprawiać wrażenia nieświeżości. Obok „Króla", „Zielonego Fraka" i tuzina innych dzieł tych autorów, „Święty Gaj" pozostanie najprawdopodobniej jednym z pomników niespożytych francuskiego dowcipu.

Główną rolę żeńską z całym blaskiem swojego talentu ilustruje pani Przybyłko Potocka. Z mężczyzn największa porcja oklasków przypada Marjuszowi Maszyńskiemu, który w roli rosyjskiego tancerza hr. Zakuskina przechodzi samego siebie.

ZASTĘPCA

JEDYNY RATUNEK

W TEATRZE Małym wystawiono Fr. Molnara „Jedyny ratunek". Autor nazwał sztukę anegdotą w 3 aktach. Na scenie pokazano zawodowych dramatopisarzy, ich kłopoty i figle literackie. Pisarz węgierski miał na celu wyszydzenie francuskiej roboty scenicznej, przyczem wyzyskał zręczenie anegdotę o aktorce. Dzieła tego rodzaju, biorące samą sztukę za przedmiot, robią wrażenie samopożerami się sztuki— może z głodu nudy. Grano doskonale.

NOWE KSIĄŻKI

Roman Dmowski. Zagadnienie rządu. Obóz Wielkiej Polski. Wskazania programowe, zesz. 1. Warsz. 1927. Skład. gł. w biurze O. W. P. Złota 5.

Pamiętnik Zjazdu jubil. Polskiej Macierzy Szkolnej. Warsz. 1927. Wyd. Pol, Macierzy Szk. Krak. Przedm. 7

Dmitro Doncow. Szczo take internacionalizm? Lwów 1927. Str. 30. Nacjonalno-polityczna Bibl. nr. 1.

Fran. Kwapil. Modre ostrowy. Literatuini vzpominky a skizy. Praga 1926. Nakł. J. Otto. Str. 233.

Ks. Miecz. Dubowski. Zależność wykonania od cech procesu woli. Warsz. 1926. Skł. gł. Książnica Atlas (Cena 1 zł.) str. 24.

Edward Krasiński. Trzy przemówienia. Warsz. 1925 Druk Łazarskiego. Str. 30.

W Bibl. Dzieł Wyborowych wyszły: Wal. Mandelstamma Hollywood. Powieść; St. Dzikowskiego Zaczarowane zwierciadło.

W Bibljotece Humoru — zesz. 3. Humor amerykański 4. H. Teffi Dym bez ognia. Tow. Wydawn. Warszawa, rok 1927.

W Bibl. Belletrystycznej: J. Wołoszynowski O Twardowskim. Powieść. 2 tomy. Tamże.

W Bibl. Dobre książki dla młodzieży: Marja Dąbrowska. Przyjaźń. Opowiadania. Tamże.

Katalog bibljoteki wzorowej dla młodzieży. Warsz. Księg. Perzyńskiego.

NA MARGINESIE

Na targowisko polityczne wtargnęła masonerja z kramikami haseł teozoficznych i filozoficznych i podnosi straszliwy harmider. Posłuchajcie, jak wykrzykuje p. Minkiewicz, co to jest „życie wolne". Pod tym tytułem założono pisemko, do którego żydzi wzięli dla powagi jednego profesora, zakochanego w żydach po uszy p. Baudouina de Courtenay. W słowie programowem reklamowana jest tam wolność, jako jedyny środek na wszystko. Życie wolne — powiada p. Minkiewicz — „to jedyne rzetelne rozbrojenie umysłów, nie zaś tylko armji". Oto właśnie rozbrojenie polskich umysłów chodzi. Pan profesor daje autorytet, a p. Minkiewicz — talent wykrzykiwania i — logikę. Jakież bo logiczne aforyzmy z siebie wyrzuca: „Życie wolne jest głębokie"... (Dlaczego, zapytacie?...) „bo płytka wolność — to swawola". Umysł „rzetelnie rozbrojony", — jak widzimy — jest głęboko rozwolniony. Ktoś udając w ten sposób technika, jak p. Minkiewicz filozofa, zaplątał się, gdy mu wypadło powiedzieć, że „punkt tarcia przypada w punkcie podparcia". Zresztą takich aforyzmów umysłom rozbrojonym można sypać bez końca. Podsuwamy parę: Głęboka wolność—to wolna głębokość; Życie wolne — to kamień węgielny, bo węgiel kamienny to nie jest życie i t. d.

*

Pan Piotr Dunin Borkowski klaruje myśl ziemian w „Głosie Zachowawczym" w ten sposób: „Celem rządów majowych jest demokratyzacja społeczeństwa w tym sensie, by jaknajwięcej ludzi mogło wziąść (wziąć?) udział w pracy państwowo-twórczej niezależnie od przekonań politycznych i partyjnych swarów. Oczywiście już w tem założeniu tkwi zysk moralny dla ziemian, którzy w epoce kluczy partyjnych musieli być najzupełniej odsunięci od możliwości pracy dla państwa dzięki (?) swej małej liczebności". Bywali ziemianie statystami, ale dzisiejszy pan Borkowski jest tylko statystykiem i to kiepskim. Czy istotnie ilościowo udział ludzi niezależnie i t. d. tak zwiększył się? Czy istotnie od ilości zależna jest „możliwość" pracy dla państwa?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM